



Nasza Camino de Santiago

Spis treści

Nasza Camino de Santiago, przygotowania	4
10 maja, Warszawa – Charleroi – Santander	8
11 maja, Santander – Oviedo – Pedrafita – O Cebreiro	11
12 maja, O Cebreiro – Triacastela	16
13 maja, Triacastela – Sarria	23
14 maja, Sarria – Portomarin	28
15 maja, Portomarin – Rosario	33
16 maja, Rosario – Boente	36
17 maja, Boente – Santa Irene	39
18 maja, Santa Irene – Santiago de Compostela	43
19 maja, Santiago de Compostela	50
Camino jest wszędzie!	53

Nasza Camino de Santiago, przygotowania

Jesień 2016

Oczywiście, że słyszałam wcześniej o Camino. Nawet kiedyś analizowałam trasę tych ostatnich 100 km, proponowaną przez jakieś biuro podróży. To był pierwszy moment, w którym zakiełkowałam mi myśl, że może kiedyś... Ale póki co zupełnym przypadkiem znalazłam się koło [Dedalusa](#) (czyli mojej ukochanej taniej księgarni) i wpadła mi w ręce książka „[Moja droga do Santiago](#)” Roberta Warda. Kupiłam, odłożyłam na półkę razem z tłumem innych do przeczytania. W końcu przyszedł na nią czas. I z każdą kolejną przeczytaną stroną czułam coraz większą chęć ruszenia na szlak...



Moja droga do Santiago – wciąga :)

Zima 2016

Powoli przygotowywałam Wilczego na mój pomysł. Właśnie ogarnialiśmy zdjęcia i wspomnienia z Gruzji, gdzie było trochę pod górkę. Wilczy najpierw mnie wyśmiał, a potem stanął na pozycji cynika i przypominał mi, jak umierałam, podchodząc do klasztoru pod Kazbkiem.

– Ale tam nie ma takich gór – zaoponowała. Znowu mnie wyśmiał. Potem zaczął oglądać mapę. Ja na wszelki wypadek mapy nie oglądałam, uparłam się, że gór nie ma i już. No, może nie całkiem po płaskim będziemy chodzić, ale nie pod górkę. A przynajmniej nie bardzo...

– Ostatnie 100 km – kusiłam go. – Hiszpania, ośmiornice, wino, a potem skoczmy sobie do Porto...

Porto go przekonało. Kto by pomyślał? Pewnie kombinował, jakby tu do domu wrócić przez Lizbonę...)



Porto w Porto smakuje wyśmienicie :)

Luty 2017

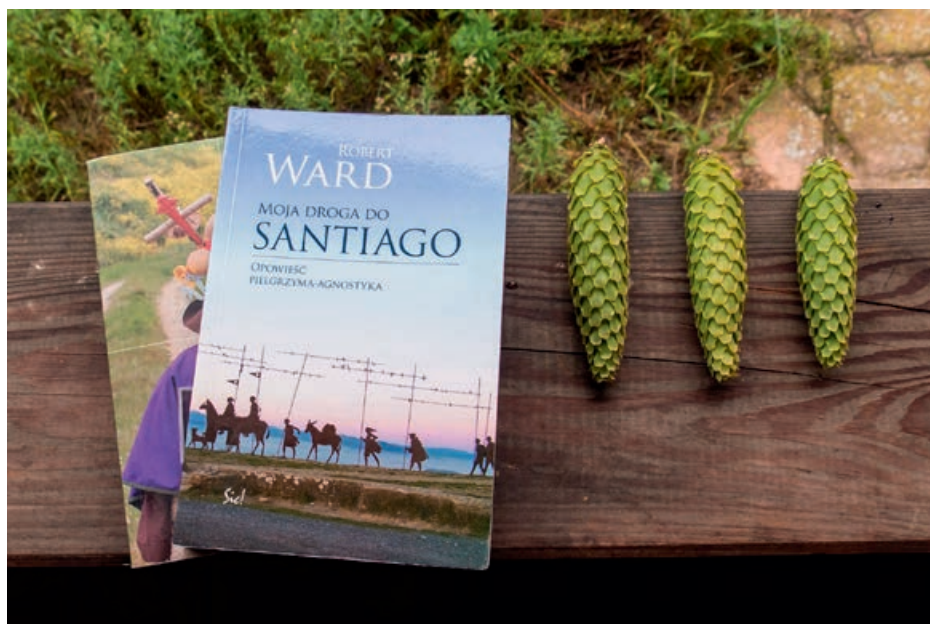
Straciłam głos. Akurat przed pokazem zdjęć z Gruzji...

Camino zaplanowane na maj. Wilczy w końcu dał się przekonać, urlop zaklepany. Tylko ogarnąć temat. Zaplanować trasę. Ustalić, co potrzebujemy zabrać. I trochę pochodzić, żeby szok dla organizmu zmniejszyć...

Tymczasem ja wylądowałam na antybiotyku i nie mogę mówić. Nic to, jeszcze dużo czasu przed nami

Marzec 2017

Wydawało się, że wyzdrowiałam, ale... drugi antybiotyk. W końcu zwolnienie. Marzec się kończy, przeloty już kupione, czas zdobywać kondycję, a ja sła biutka. Powoli robię się coraz bardziej przerażona. Czytam kolejną książkę o camino, zaczynam myśleć o tym, jak się spakować i jak ochronić się przed pluskwami. Z całego bajzlu ich boję się najbardziej...



Książek o camino jest wiele, każda to osobna opowieść

Kwiecień 2017

Samolot mamy 10 maja. Dwie soboty spędzamy w Kampinosie, wędrując i licząc kilometry. Powoli wygrzebuje się z długiego, półtoramiesięcznego przeziębienia, czuję się osłabiona i z przerażeniem myślę o camino. O wstawaniu o 5-6 rano, o ponaddwudziestokilometrowych wędrowkach z bagażem na plecach. O pluskwach!...

Kupuję plastry na odciski i lawendowy zapach do śpiworów (na te pluskwy). Oraz bandaż elastyczny. Obiecuję ciężarnej pani w aptece, że zaniósę do Jakuba prośbę o pomyślne rozwiązanie.

Jedziemy na Jurę Krakowsko-Częstochowską, łazimy po okolicy, wyrabiając kilometry. Potem lądujemy w Międzygórzu, też piękny spacer po górach; przy okazji trafiamy na początek Kłodzkiej Drogi Świętego Jakuba i cieszymy się jak dzieci. Jeszcze nie zaczęliśmy naszej camino, ale camino już znalazła nas :)



Właśnie znaleźliśmy początek Kłodzkiej Drogi św. Jakuba. W Międzygórzu

Robię próbę pakowania. W piękny, nowy plecak Wilczego pakuję się idealnie, ale bez śpiwora. Z bólem serca rezygnuję z lustrzanki, tym razem musi mi wystarczyć mały kompakt, nie ma opcji dźwignienia dodatkowych 3 kg. Mój plecak z litrem wody waży około 8 kg, to absolutne maksimum. Ciekawe, czy mam wszystko, czy o czymś zapomniałam?... Oczywiście kurtka i polar na mnie, nie w plecaku... Tylko co będzie, jak zrobi się ciepło? Do plecaka się już te ciuchy nie zmieszczą. Trzeba będzie jakoś je przytroczyć na wierzchu.

Pogoda ciągle podła, pada albo grozi, że będzie padać. Próbowałam jeździć na rowerze, ale to żadna przyjemność w deszczu. Od 10 kwietnia wchodzę więc po schodach na 15. piętro i schodzę. Brak kondycji jest dramatyczny, ale nie odpuszczam. Kilka razy mam na sobie nawet plecak obciążony do 5 kg. Wilczy mnie jednak przekonał, że w Galicji są góry... Wędrowki klatką schodową skutecznie skończę późnym wieczorem, bliżej 23.00 i od razu przypominają mi się wszystkie horrory, których akcja dzieje się w blokach. Wchodzę więc na paluszkach, żeby potwory mnie nie usłyszały...)

W Hiszpanii wylądujemy w Santander, ale potem musimy się jakoś dostać w głąb kraju. Czytam fora i grupy o camino, szukam informacji w necie. Podstawowy plan to zacząć camino w Sarrii, czyli zrobić klasyczne ostatnie 100 km. Ale wygląda na to, że dojazd tam zajmie nam kolejny dzień urlopu. Może spróbować jednak zacząć gdzieś indziej naszą wędrowkę? Kilka kilometrów wcześniej?

Trafiamy na Pedrafitę, leży co prawda obok szlaku, ale to dobry punkt startowy. No i moglibyśmy tam dojechać koło południa, więc jeszcze dalibyśmy radę przejść tego dnia kilka kilometrów. Decydujemy się i Wilczy stara się zarezerwować bilety... Dwa dni później w końcu się udaje, chociaż po drodze mnóstwo nerwów i problemów ze stroną ALSA i płatnościami internetowymi. Otóż płatność kartą w sumie nie działa (choć raz się udało), lepiej skorzystać z PayPala.

No teraz to już musimy jechać!...

Maj 2017

Wchodzenie na 15. piętro robi się meganudne, ale wchodzę uparcie co wieczór. Kupiłam mnóstwo batoników energetycznych, w końcu co to będzie, jak zgłodniejemy po drodze? Sprawdzam codziennie spis rzeczy do zabrania, zastanawiając się, o czym nie pomyślałam. Jedziemy tylko z bagażem podręcznym, więc kosmetyki do 100 ml, lekki ręcznik szybkoschnący, ograniczona ilość ciuchów. Każda rzecz swoje waży, Wilczy notuje wagę i włos mu się na głowie jeży! Pakujemy osobno kosmetyczkę, osobno apteczkę. Głowimy się nad powerbankiem, brać czy nie? Internety piszą, że gniazdka w albergach są, ale mało i czasami tylko w łazienkach. Powerbank waży ze 300 gramów. Trudna decyzja...

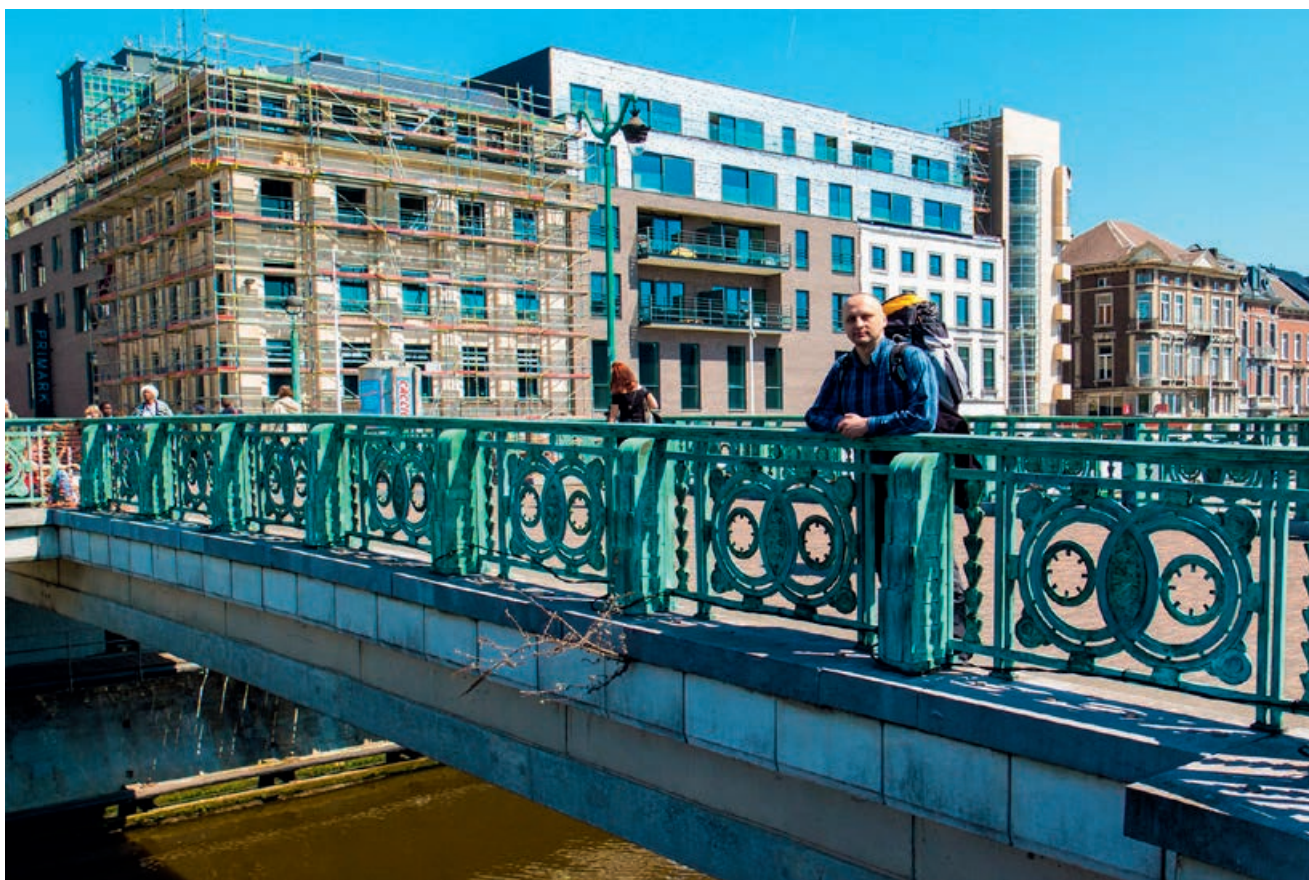
Codziennie sprawdzam prognozę pogody. No nie chce być inaczej, początki będą deszczowe. Pierwsze dwa dni ma lać. Mam wizję zjeżdżania z pagórków na zadzie w błocie. Zastanawiam się nad peleryną przeciwdeszczową, ale mam świadomość, że to będzie folia i ugotuję się pod nią momentalnie. Trudno, spodnie jakoś wyschną, a kurtkę przeciwdeszczową mam porządną. Damy radę.

Kupujemy ubezpieczenie. Pakujemy plecaki. W końcu jesteśmy praktycznie gotowi na Wielką Przygodę. Nadchodzi godzina zero!

10 maja, Warszawa – Charleroi – Santander

9:25, lot z Modlina do Charleroi. Na lotnisku spokój, kontrolę bezpieczeństwa przechodzimy megaszybko i potem nudzimy się w poczekalni. W Charleroi ucieka nam autobus do miasta. Utknęliśmy przed automatem biletowym, który pokazuje straszne bzdury i dopiero napotkana kobieta, też Polka, naprowadza nas na właściwą drogę kupowania biletów. Okazuje się, że można płacić wyłącznie kartą, a bilet kosztuje jakieś koszarne pieniądze (6 EUR od osoby w jedną stronę!). Potem okazuje się, że bilety można także kupić u kierowcy. Za gotówkę!

Charleroi ma opinię najbrzydszego miasta świata, więc jedziemy to sprawdzić. Mamy jakieś 3 godziny, potem musimy wracać na lotnisko. [Zobacz nasze Charleroi](#). Spacerujemy po mieście z plecakami, mamy wprawkę przed camino. Przy okazji wychodzą pierwsze niedogodności: mnie plecak ugniata w zad. Wilczemu jest za gorąco. Mnie boli prawa noga, Wilczego lewa. Będziemy się nawzajem podtrzymywać...



Wilczy w Charleroi. Jeszcze pełen optymizmu...

17:15, lot z Charleroi do Santander. Kolejka do odprawy ustawiła się w momencie wyświetlenia gate. Widocznie Hiszpanie (bo to głównie oni byli) lubią stać w kolejkach, ale oni nie mieli komuny. Okazało się, że lecimy dokładnie tym samym samolotem, którym lecieliśmy rano! I nawet na tych samych miejscach. Moglibyśmy nie wsiadać

Wreszcie w Hiszpanii! Ośmiornice, wino, español, camino! O, na razie bomberos na lotnisku. Informacja turystyczna z obowiązkową mapką. Niestety, na mapce nie ma zaznaczonej żadnej knajpy. Autobus do miasta kosztuje 2,90 EUR od osoby, wsiadamy na dworcu autobusowym i orientujemy się najpierw w kwestii dalszej podróży. Autobus do Oviedo odjeżdża z podziemi, tam są perony. Odjeżdża o 3:20 w nocy... Mamy sporo czasu na zwiedzanie i życie nocne. Jeszcze nie wiemy, że takowe w Santander w środę nie istnieje.

Idziemy w miasto. Spacer skutkuje tym, że robimy się coraz bardziej głodni. Ładny deptak, ale czemuś odgrodzony w pewnym momencie. Wędkarze na nabrzeżu. Wiatr od morza. Miasto monumentalne. Bank Santander z logiem przypominającym... no, sami oceńcie, co :p

Koło katedry znajdujemy... żółtą muszlę na niebieskim tle! Camino! Znowu droga nas sama znalazła



Droga Świętego Jakuba w Santander, nieopodal katedry

Trafiamy do knajpki dla miejscowych, bardzo dobrze trafiamy, zamawiamy jedzenie. Mięso, frytki, jaja, krokiety, piwo, pycha! A jeszcze pan, czyli chleb. Przed nami wisi pod sufitem telewizor i nagle okazuje się, że właśnie zaczyna się mecz Atlético Madryt – Real Madryt. Cała sala kibicuje, ludzie tu przyszli tylko po to, a przy okazji na szklaneczkę czegoś. W knajpie jest zakaz palenia, ale tu jest Hiszpania i mecz, ludzie palą w drzwiach, czasem metr – półtora w środku, no przecież prawie za drzwiami, nie? Emocje, emocje! Atlético zaczyna ostro, mają mnóstwo energii, Real przy nich to jakies żółwie, ci z Atlético biegają, jest ich bardzo dużo na boisku, tworzą mnóstwo sytuacji podbramkowych, strzelają dwa gole w ciągu 17 minut, kibicujemy! Smutny Ronaldo. Atlético mają w herbie Oso y el madroño :)



Atlético – Real 2:0

Ale nagle Atlético straciło całą swoją energię. Bronić to się jeszcze jakoś bronili, ale ataku to już nie było w ogóle. Może ktoś im przypomniał, że nie mogą strzelić kolejnych goli, bo to Real ma wejść wyżej w rywalizacji? Wyglądało to tak, jakby już im się nie chciało biegać wcale. Real natomiast jakby rozłożył siły na cały mecz, więc teraz z kolei ci mieli sporo sytuacji pod bramką przeciwnika i w efekcie strzelili jednego gola. Tak więc mecz skończył się wygraną Atlético, a knajpa zamknęła się zaraz potem. Poszliśmy w miasto...

Tymczasem inne knajpy także się zamknęły, zatem kompletnie nie mając co robić, poszliśmy na spacer. Ale w końcu wróciliśmy na dworzec autobusowy i w oczekiwaniu na nasz autobus drzemaliśmy na ławeczkach. Niestety, po autobusie o 1 w nocy do Madrytu przyszedł ochroniarz i wyrzucił nas z dworca, ponieważ dworzec jest zamykany. Na 2 godziny. I wynocha. Na deszcz, który właśnie postanowił padać...

Następne dwie godziny spędziliśmy włączając się po okolicach dworca. Najbliższym punktem były zadane ławeczki, ale w ich bezpośredniej okolicy piknik urządzały właśnie szczury w wielkim stadzie, więc odmówiłam wypoczynku wśród szczurów santanderskich. Knajpy pozamykały się absolutnie. Pozostały ławki w parku miejskim. I pomstowanie na Santander. No chyba nie lubimy tego miasta... nas, caminowiczów-bohaterów tak potraktować???

11 maja, Santander – Oviedo – Pedrafita – O Cebreiro

O 3 w nocy otworzono dworzec, zdążyliśmy jeszcze skorzystać z toalety i przyjechał nasz autobus. Wreszcie można się było trochę przespać w suchych i względnie ciepłych warunkach...

Dojechaliśmy do Oviedo koło 6 rano. Na zewnątrz ciemno. Tutaj słońce wstaje później niż w Polsce. Dwie godziny oczekiwania na autobus do Pedrafity spędziliśmy, zwiedzając kolejny dworzec autobusowy. Toalety były co prawda czyste jak w Santanderze, ale papier toaletowy wisiał przed wejściem, a mydła nie dowieźli. Była za to knajpka z gorącą herbatą i przekąskami. Nastroje? Spać!...



Automat sprzedażowy w Oviedo. Wędliny, sery, dania gotowe...:)

8:30, autobus do Pedrafity. Rusza z peronu do tyłu, a Wilczy na to:

– O, nie wiedziałem, że mamy push-back!

Autobus ma po całości pękniętą przednią szybę. U nas to by chyba nie przeszło, tutaj jeździ. Przed nami 4 godziny drzemki. Gdzieś po drodze, na jakimś dworcu, pytam, czy mogę wyjść do toalety, jeden kierowca krzyczy coś do mnie po hiszpańsku, drugi krzyczy, że “No, no!”, dobra, zsiłam się wam na siedzenia. Mają opóźnienie, więc żadnego zatrzymywania się na sikanie, ludzie tu nie sikają. Kierowca wyrzuca pustą butelkę po wodzie na rondo przez okno. Chyba go nie lubię. W dodatku jedzie jak wariat. Wilczy też go nie lubi. Trafiamy na robo-

ty drogowe, musimy zawracać, a trzeba było słuchać robotników w tunelu. W końcu wysiadamy w Pedraficie i jesteśmy szczęśliwi, że to już. Żadnych autobusów! Teraz tylko własne nogi. Camino, przybyliśmy!

No, prawie. Jesteśmy nieco w bok od szlaku, musimy coś zjeść i skorzystać z toalety. Bar, wycajony na Google Street View na szczęście istnieje, wchodzimy czym prędzej, zapodajemy herbatę i bocadillos, czyli wielkie kanapki z bagietki z jamón serrano i jest nam dobrze. Chociaż nieco śpiąco. Ale nawet przestaje padać.

Płonne nadzieje. Gdy wychodzimy na zewnątrz, zaczyna padać znowu. Obczajamy najbliższą okolicę, podobno jest tu jakaś informacja turystyczna, ale chyba wirtualna. Na pytanie, gdzie możemy zdobyć credenciales (czyli paszporty pielgrzyma), pada odpowiedź: w O Cebreiro. Co robić, zakładamy przeciwdeszczowe osłonki na plecaki, robimy sobie pamiątkowe zdjęcie na przystanku autobusowym i w drogę!

Nasza Camino rozpoczęła się w deszczu...



Pedrafita, przystanek autobusowy, deszcz i my. Sama radość. Podniecenie wywołane zbliżającą się podróżą...

Wilczy, zapytany, którądy idziemy – asfaltem czy drogą przez las – nie odpowiedział nic konkretnego, po czym pomaszerował asfaltem. Aha. Na obrzeżach miasteczka trafił się sklepik, więc weszliśmy i nabyliśmy ciasteczka. Wyszliśmy. Zaraz potem weszliśmy znowu i nabyliśmy wodę. I ruszyliśmy przez Galicję, hiszpańską krainę, ostatnią na szlaku Camino de Santiago.

Potem na przemian zdejmowaliśmy kaptury i zakładaliśmy je z powrotem, bo deszcz nie mógł się zdecydować. Było w miarę ciepło, na tyle, że musieliśmy się rozebrać, bo za gorąco pod kurtką. Góry w chmurach. Chmury w górach. Piękne uroczysko, miejsce ujęcia wody, która sobie ciurkała z omszałych kamulców. Ławeczki, wzgórek, no naprawdę uroczo, tylko w słońcu mogłoby to wyglądać nieco lepiej. Wędrówka szosą

miała to do siebie, że co i rusz trzeba było umykać przed samochodami. Szliśmy albo szerokim poboczem (jak było), albo za barierką, jeśli była ścieżka. Czasami asfaltem. Dosłownie co chwilę zatrzymywaliśmy się, żeby zrobić jakieś zdjęcia.

– Nie będę sprawdzał, gdzie jesteście, bo wpadnę w depresję – powiedział Wilczy, kiedy usiłowałam go namówić na odpalenie Google Maps. Jest połowa maja. Gdybyśmy przyjechali tu miesiąc później, mielibyśmy roaming europejski już w cenie polskiego abonamentu. Tymczasem musieliśmy kupić osobną kartę SIM i mamy 2 GB internetu w roamingu. Wreszcie Wilczy sprawdził mapę i okazało się, że jesteśmy za połową drogi do O Cebreiro – miejsca, w którym postanowiliśmy dziś zakotwiczyć i wreszcie przespać się porządnie w łóżku. W końcu ostatnią noc spędziliśmy na lotniskach, dworcach i w autobusach...

Teraz to mamy nawet już z górki. Podejście było w sumie dość łagodne, ale upierdliwe. Na początku O Cebreiro znowu się rozpadało, ale znaleźliśmy szlak i ucieszyliśmy się jak dzieci. Są! Żółte strzałki, niebieskie kwadraty z muszelkami! Osada jest nieduża i bardzo urokliwa. Domki z kamienia, niektóre kryte strzechą, skupione wokół placu i jednej, krótkiej, wewnętrznej drogi. Szosa biegnie obok, dołem, nie niepokojąc mieszkańców. Pierwsze kroki skierowaliśmy do kościoła, żeby wreszcie stać się pełnoprawnymi pielgrzymami i nabyć credencial. Bez niego ani rusz: nie będzie credenciala z pieczętkami, camino nieważne! No dobra, camino oczywiście ważne, ale bez credenciala nie dostaniemy compostelki, czyli dokumentu potwierdzającego przejście co najmniej ostatnich 100 km szlaku. Poza tym credencial to naprawdę fajna pamiątka, a zbieranie pieczętek po drodze dodatkowo wpływa na atrakcyjność szlaku.

Nasze credenciales zostały pięknie wypisane (miejsce startu: Pedrafita Do Cebreiro), kosztowały nas po 2 EUR. Nabyliśmy jeszcze świeczkę i zapaliliśmy ją w intencji powodzenia naszej wyprawy. I mogliśmy wrócić do rzeczy bardziej przyziemnych: nocleg i obiad.



Pierwsze drogowskazy na camino! O Cebreiro. To jest cała osada :)

W O Cebreiro jest jedna albergua municypalna (schronisko miejskie), są też pokoje do wynajęcia. Najpierw szukaliśmy pokoju, ale ceny od 45 EUR nieco nas odstraszyły, więc grzecznie zameldowaliśmy się w alberdze (potrzebne są credenciales, paszporty i gotówka: 6 EUR od ludzika). Wilczy się śmieje, że jeszcze Paszport Polsatu mógłby się przydać. Dostaliśmy jednorazowe prześcieradła i poszewki na poduszki i przydzielono nam piętrowe łóżka. To trochę straszne, nie umiem wchodzić po tych szczebelkach, wrzynają mi się w nogi. A schodzić nie umiem jeszcze bardziej i ciągle mam wrażenie, że albo spadnę, albo przewrócę łóżko i będzie katastrofa... Pluskiew póki co nie stwierdzono, co nie znaczy, że rzeczywiście ich nie ma. Wyciągnęliśmy nasze śmierdzące lawendą śpiworki. Wilczy się skrzywił. No, ale coś za coś, możliwe, że ta lawenda uratuje nam życie. Buty zostawia się piętro niżej, na półeczkach postawionych w czymś w rodzaju werandy z pięknym widokiem na dolinę. Obok są łazienki.

Dość tych przyjemności, chodźmy coś zjeść! W centrum hobbiczej osady jest sklep z pamiątkami i kilka knajpek. Najpierw wchodzimy do sklepu i z miejsca nabywamy piękny magnesik z O Cebreiro. To w końcu oficjalny początek naszej trasy. Wilczy mamrocze, że magnesik waży i chyba oszalałam, i że będę to sama dźwigać. No to dźwigam. Nabyliśmy też muszle na plecaki, bo do tej pory byliśmy nieoznakowani. Muszla to obowiązkowy ekwipunek pielgrzyma, należy ją przymocować do plecaka. Wybraliśmy takie nieduże, eleganckie. Do kompletu kupiliśmy przewodnik po camino. Usiłowaliśmy kupić taki w Polsce, ale nam się nie udało, więc nie zastanawialiśmy się zbyt długo. Jest tu narysowany przekrój trasy, zaznaczone miejscowości, sklepy, bary, adresy alberg. Dzięki temu łatwiej planować kolejne posunięcia. Przy kasie dostaliśmy jeszcze znaczki do wpięcia z żółtą muszlą na niebieskim tle i polską flagą! Ucieszyliśmy się ogromnie i wpięliśmy je natychmiast w polarki.

Przyszedł czas na knajpę. Weszliśmy do tej najbardziej zatłoczonej, usiedliśmy przy barze i zapodaliśmy wino. Wszędzie serwują pulpo, czyli ośmiornicę, ale póki co chcieliśmy zacząć od kalmarów. Zapytaliśmy jednak o obiad dla pielgrzymów i okazało się, że przez sklep (który jest za ścianą) wchodzi się do restauracji i tam będzie serwowane menu del peregrino, ale od 17:30. Musimy jeszcze te 20 minut poczekać. Z przyjemnością. Akurat zwolnił się stolik przy kominku, zatem mieliśmy okazję, żeby pouzupełniać credenciale (trzeba wpisać jakieś dane) i wypić wino (3,20 EUR). Wino jest zawsze dobre. Szczególnie, jak do niego dostaje się jeszcze po tapasku...:)))

O 17:35 zmieniliśmy pomieszczenie, dostaliśmy do ręki kartkę po angielsku z wyborem dań i wybraliśmy. Na pierwsze danie: caldo gallego (zupa z zieleniny, z fasolą, bardzo dobra). Na drugie: pork z frytkami (wieprzowina z kością, bez panierki). Na trzecie: tarta de Santiago i flan. I pół litra wody (lub wina) na głowę. Wina nie wzięliśmy tym razem, bo zaczęliśmy zasypiać. Wszystko było pyszne, najedliśmy się do syta, żyć nie umierać! Życie pielgrzyma jest bardzo smaczne, doprawdy

Po jedzeniu czas wrócić do albergi i przyszykować się do spania. Niby jeszcze wcześnie, ale szarówka i deszcz. Budzik nastawiony na 6 rano. Stoję przy moim piętrowym łóżku i gmeram w plecaku z mądrą miną. Wyciągam śpioszki i rzeczy do mycia – będzie okazja wziąć prysznic. Dyskretnie rozglądam się po naszej sali. Większość łóżek zajętych. Wyglądamy na najmłodszych uczestników wycieczki. No naprawdę – życie zaczyna się po sześćdziesiątce! Wszystko przed nami! Babka, która zajmuje łóżko obok (i szczęśliwie dolne), pyta o pogodę na jutro. Porozumiewamy się po angielsku z elementami hiszpańskiego. Martwię ją, mówiąc, że jutro będzie tak, jak dziś. Nie jest uszczęśliwiona moją odpowiedzią. I chyba ma jakąś kontuzję, smaruje kolana spirytusem kamforowym. Obok zajmują łóżka dwie bardzo starsze panie, siwowłose, rozmawiają ze sobą w jakimś dziwnym narzeczu. Skandynawia ani chybi!

Po prysznicu (otwarte kabiny, raczej czysto, ale bez przesady, woda właściwie ciepła...) pakuję plecak, żeby ogarnąć się na jutro. Miejsca na rzeczy zbyt wiele nie ma, trzeba się kompresować w plecaku i na koi. Utknęłam nagle, zastanawiam się, co jeszcze powinnam zrobić.

– Ty nie myśl tak dużo – zaczepia mnie ta sama babka od pogody. – Nie warto

Światło gasi się o 22.00. Dobranoc, pchły na noc. Byle nie pluskwy :)



Alberga municypalna w O Cebreiro o poranku

12 maja, O Cebreiro – Triacastela

Noc była ciężka (poprzedniej nocy właściwie nie było, więc i tak jest lepiej, bo tę spędziliśmy przynajmniej w pozycji horyzontalnej). Nasze dormitorium mieściło 58 łóżek. W nocy było piekielnie gorąco. Nie było czym oddychać. Nie mogłam zasnąć. Ludzie sapali, wierzili się, chrzapałi, stękali, gadali, świecili latarkami po oczach, śmierdziali i wydzielali dwutlenek węgla w ilościach hurtowych. Rano okazało się, że okna co prawda były uchylone, ale zaparowaliśmy pomieszczenie tak, że po szybach spływała rosa.

Ruch zaczął się przed 6.00, część osób zaczęła wstawać. Koło 6.00 zapalono światło. Budzik nie był nam potrzebny, i tak nie dało się dłużej spać. Zwlekliśmy się zatem, pozbieraliśmy zabawki, znaleźliśmy swoje buty i poszliśmy na śniadanie do jednej z knajpek. Chyba byliśmy pierwszymi gośćmi, pewnie większość ruszyła bez śniadania albo mieli własny prowiant. Ja nie wyobrażam sobie żadnej aktywności bez gorącego napoju z rana. Więc wielkie kawały chleba, świeżo opieczone w tosterze, do tego dżem i herbata. Tak wygląda śniadanie po hiszpańsku (no dobra, oni głównie serwują do tego kawę, ja jestem herbaciana). Pomyślałam, że chciałabym się przespać w pokoju dwuosobowym z łazienką... Tylko czy wtedy nadal byłabym peregrino? ;p

Dzisiaj powiedziałam moje pierwsze “Buen camino!” Do tej pani, z którą wczoraj dyskutowałam o pogodzie i myśleniu. Normalnie jestem z siebie dumna ;)))



Camino complementario. Tyle jeszcze przed nami. A finalnie i tak przejdziemy więcej.

Nasz przewodnik (kupiony za całe 7 EUR wczoraj) każe nam iść z drugiej strony O Cebreiro. Wszyscy poszli główną drogą, a my wybraliśmy przewodnik i okazało się, że idziemy camino complementario, które uparcie nazywam camino alternativo. Było pięknie, bo nie padało przypadkiem. Było pusto, bo wszyscy poszli inną drogą. Było zielono, wzgórza, doliny, no widoki obłędne. Zeszliśmy do Liñares i spotkaliśmy tam pierwszych pielgrzymów. Pielgrzymi na szlaku witają się, mówiąc “Buen camino”. Poza Wilczym, który mówi “...mino!”. Ale już się nauczył mówić pełnym zdaniem (czego się nie robi, żeby kobieta dała święty spokój...).

Liñares to kolejna galicyjska wioska, zbudowana z kamienia i pustaków udających kamień. Mieści się tam też kościółek, który przypadkiem był otwarty, więc weszliśmy, żeby trochę przeschnąć, bo znowu zaczęło padać. W kościółku – stoliczek, na stoliczku – pieczętka i długopis. Na sznurku. Wyciągamy credenciale i wpieczętowujemy dowód bytności. Pod pieczętką trzeba wpisać datę, żeby było wiadomo, kiedy tu byliśmy. Aby otrzymać kompostelkę, musimy się wylegitymować dwiema pieczętkami dziennie z ostatnich 100 km. Ale jeszcze nam daleko do ostatnich 100 km...

Przed kościółkiem zastajemy scenkę: biegnie sobie piesek. W ubranku przeciwdeszczowym... Za pieskiem – dwójka pielgrzymów. Też w płaszczach. Z kijami. Ładny zestaw

Pada ciągle. Niebo i droga zasnute chmurami. Na szczęście nie leje, tylko zwyczajnie pada, ale mokre rękawy kurtki nie są fajne. Docieramy do Hospital, wchodzimy do baru po pieczętkę i na kawę. Trzeba trochę odpocząć. Za nami 7 km, czyli mniej więcej 1/3 dzisiejszego dystansu. Nie można powiedzieć, że jesteśmy pełni energii ;p

Czas ruszać dalej, przed nami podejście do Alto do Poio – 1337 m n.p.m. No jest pod górkę. Nie da się ukryć. Nie ma już ścieżki wzdłuż drogi, jest ścieżka schowana w wąwozie i pnie się coraz wyżej i wyżej. I coraz bardziej stromo. I z coraz większym błotem. I ciągle pada... Co gorsza, ciągle nas wyprzedzają jacyś starsi ludzie! Oni idą! Ja się muszę zatrzymywać i zdycham, a oni IDĄ!!!...

Kiedy już myślałam, że nie dam rady, zza zakrętu wyłoniła się ostatnia prosta i szczyt. Znaczący, najpierw zobaczyłam samochód i pomyślałam, że jak ruszy, to zleci i mnie zabije. Potem okazało się, że samochód stał przed barem, a bar stał na szczycie przełęczy i wreszcie wleźliśmy i to koniec tej podgórki! Koniec, wreszcie, szczyt, Alto do Poio!... Podzieliłam się moją radością z Wilczym:

– Jak to dobrze, że zbudowali tu bar, jakie to było mądre, jakie cudowne, idziemy do baru, odpocząć, paść, położyć się...!

– Bary zawsze buduje się na końcu podejścia – pouczył mnie mentorskim tonem Wilczy.

Prych!...



W wejściu do baru stał wielki pies. Wielki, to znaczy, że ważył pewnie ze 120 kg i sięgał mi do pasa. Poza tym był bardzo przyjazny i ewidentnie kochał ludzi, ale stał w wejściu, w dodatku był mokry. No dobra, my też nie susi ;p Przepchnęłam się obok niego, wychodząc z założenia, że moja potrzeba kawy i odpoczynku jest większa niż strach przed psem. Znalazłam w drugim pomieszczeniu wolny stół, poślizgnęłam się natychmiast na posadzce z kafelków, złapałam równowagę, ściągnęłam plecak, kurtkę i zorientowałam się, że mam mokre ramiona pod kurtką. Wygląda na to, że zwyczajnie się zgrzałam, bo kurtka chyba nie przecieka??? W końcu można nią baseny wyklądać!...

Dwie kawy, dwie pieczątki, toaleta. Kapie mi z nosa. Za nami jakieś 9 km dopiero, ale ostatni odcinek był ciężki. A chcemy dziś przejść ponad 20 km. Musimy ruszyć zadki i iść! Więc wychodzimy. Wielki pies łagodnie zostaje wyproszony na zewnątrz. Tymczasem tam leży sobie drugi pies, mniejszy, a po nim – niemal dosłownie – łązi sobie kura. Do baru wchodzi kolejni pielgrzymi, wielki pies korzysta z okazji i wciska się za nimi, znowu zostaje wyproszony, tym razem na pocieszenie przez kuchenne okno dostaje kawałek kości. Ruszamy.

Po drugiej stronie szosy stoi wielki pomnik pielgrzyma z widokiem. Widok byłby super, gdyby tylko jakiś w ogóle był, bo generalnie to widać chmury. Pod pielgrzymem wszyscy robią sobie zdjęcia. Wieje wiatr, chwilowo tylko kropi, idziemy dalej, teraz już teoretycznie z górki...:) Mijamy słupek z informacją, że przed nami jeszcze ponad 150 km. Jakaś abstrakcyjna odległość...



Samotny pielgrzym. I mrok na horyzoncie

– Idziemy trawersem – mówi po jakimś czasie Wilczy.

– Czyli poziomicą – mówi psyche. Poziomicą idzie się znacznie przyjemniej niż w poprzek poziomic. Dobrze, że nie mamy map z poziomicami, bo nie muszę być tak bardzo przerażona podgórkami. Po prostu jestem nieświadoma. Łatwiej się żyje

Okazuje się, że pelerynka na plecak Wilczego przemięka. Znaczący, stary ten plecak już i widocznie impregnat wywietrzył, ale to niefajnie mieć mokre rzeczy w środku... Do komina wsadziliśmy torbę foliową i przykryliśmy nią rzeczy, a resztę na tyle ogarnęliśmy, że nie powinno być dużych strat. Najważniejsze są śpiwory, jutro rano zapakujemy każdy z nich w oddzielną torbę foliową, a póki co nie są na szczęście za bardzo wystawione na deszcz.

Mija nas pan, który prosi o zrobienie sobie zdjęcia od tyłu. W tle – czarne chmury. Uśmiechamy się do siebie, komentujemy pogodę i życzymy buen camino. Pan poszedł przodem, my się ciut wlecjemy... Jest lekko pod górkę (a miało być przecież już w dół, wtf???), a Wilczy sobie liczy. PO HISZPAŃSKU. Byłam bardzo ciekawa, jak daleko dojdzie, skończył na czterdziestu...

Musimy znaleźć bar, w którym usiądziemy, wypijemy kawę czy może zjemy zupę (caldo gallego jakoś nam zasmakowało) i sprawdzimy dalszą drogę. Bo droga się rozdziela w pewnym momencie i my chcemy iść krótszym odcinkiem. Więc „show me the way to the next whisky bar”. O tak, to hasło często nas prowadziło!...



A tu dla odmiany fragment pięknej pogody

Z przeciwka idzie pies. Tak sobie truchcikiem wędruje w przeciwnym kierunku niż my. Pewnie już wraca. Po długim zejściu docieramy do Filloval, w którym zniemacka pojawia się na naszej drodze bar. W przewodniku i innych materiałach nie było żadnej informacji, że będzie bar, a tymczasem proszę! To bardzo miła okoliczność, bo padamy już z nóg. Dotaczamy się do stolika, rzucamy plecaki pod ścianę. Zdejmuję buty. Trochę wstydliwie, ale niestety muszę, bo mi jakoś niewygodnie. Zamawiamy zupę, herbatę i pieczątki. Wilczy pyta panią, jak jest „dziękuję” po galicyjsku. Pani pisze odpowiedź na podkładce pod talerz: „Moitas grazas”. Podkładkę Wilczy pieczołowicie zabiera ze sobą. Na nic się zdają moje tłumaczenia, że to waży przecież mnóstwo gramów!...

Do Triacasteli mamy jeszcze 4 km. Za nami – 19,7 według Endomondo, według przewodnika dopiero 17. Przewodnik kłamie? Czy Endomondo kłamie? Sprawdzam trzy różne źródła, każde pokazuje inny kilometr. Uznaję, że Endomondo prawdę mówi i tego będę się trzymać.

Ruszyliśmy dalej. Ciągle jest w dół, co mi osobiście w ogóle nie przeszkadza. Chwilowo znowu nie pada. Wilczy gmera w telefonie, bo ma aplikację, która pokazuje szlak i nas na tym szlaku. Oraz zawiera trochę przydatnych informacji, na przykład the way to the next whisky bar

Zakwilił ptaszek. Wilczy na to:

– Skąd tyle optymizmu?!?...

Potykam się o kamulce i zęby mi brzęczą.



I zarośnięte drzewka

Na camino jest deszcz. Potem jest słońce. I kiedy myślisz, że już wyschłeś i dojdiesz suchą nogą do albergi, która jest za 300 metrów i już ją widzisz, to wtedy jest takie wielkie jebut z nieba i zapomnij, że byłeś kiedyś suchy. Płyne z ciebie rzeka. Rwąca. Czyli, ociekając, weszliśmy do przedsionka albergi w Triacasteli i stanęliśmy na dywaniku, żeby nie roznosić deszczu po całej podłodze...

Procedura standardowa, wszystkie możliwe paszporty, jednorazowa pościel i... czteroosobowy pokój!... Od razu przy wejściu co prawda, z drzwiami jak do saloonu, które bujając się robią straszny hałas, ale za to 4 łóżka, a nie 50. Wchodzimy i... widzimy dwie skandynawskie babcie z poprzedniej albergi. Uśmiechamy się szeroko, wywiązuje się standardowy krótki dialog: skąd jesteście, gdzie ruszyliście, paskudna pogoda, ciekawe, jak będzie jutro... Babcie są ze Szwecji, idą z Ponferrady, więc kawałek dłużej niż my. Nas ominęło straszne podejście pod O Cebreiro, które one zrobiły – w deszczu. Powoli rośnie w nas podziw dla nich.

Deszcz się opamiętał wreszcie i o ile przygotował nam niezłe wejście do Triacasteli, o tyle niedługo potem sobie poszedł w diabły i mogliśmy pójść w miasto. Poszliśmy zatem do apteki. Bo kapie mi z nosa w tempie wykładniczym. Pani w aptece zadała mi milion pytań, na które odpowiadał głównie Wilczy, bo ja pociągałam nosem i tłumaczyłam, że poza tym jest świetnie, tylko mam katar. Pani w końcu sprzedała nam saszetki, w których składzie królował paracetamol. I mogliśmy pójść do knajpy na menu del dia. Wybraliśmy tę knajpę naprzeciwko albergi, blisko przynajmniej i jakoś najbardziej nam się podobało. Gdy czekaliśmy na jedzenie, dopadły nas refleksje...

Myślą przewodnią dnia jest myśl o kolejnym barze. Chodzimy od baru do baru. Dochodzimy do wniosku, że na camino najważniejsze są bary. W barze można trochę wyschnąć. Można też dostać stempelek do creden-

ciała albo skorzystać z toalety, ale najważniejsze jest to, że można wyschnąć... Bary są super i powinny być co kilometr!... A nawet co pół w co bardziej ulewnych momentach!

Druga myśl, idąca od razu za pierwszą: camino jest zasrane. No poważnie, kupa na kupie, same kupy, trzeba strasznie uważać, żeby nie wdepnąć!... Psy biegają luzem, ludzie biegają luzem, o pielgrzymach to w ogóle nie wspomnę no i taki efekt!...

Przeglądając materiały: przewodnik, trasy z internetów i trasę z aplikacji odkryliśmy, że z Triacasteli do Sarii wiodą trzy drogi. TRZY. Nie wiemy, która jest właściwa (a która to complementario albo – według psyche – alternativo). A co najgorsze, nie wiemy, GDZIE SĄ BARY. Więc nie wiemy, którędy iść jutro. Ale założenie jest takie, żeby iść tą najkrótszą. Chociaż ta najkrótsza ma jakąś parszywą podgórkę, niestety. Nie bardzo dużą, do góry ma być nie więcej niż 300 metrów, ale jednak. Postanawiam, że dam radę takiej podgórcie.

Dziś za nami 23,4 km (a miało być 21, no i co? i co???)

Prysznic w alberdzie są basenowe, intymności za grosz, na szczęście nie ma tłoku. Woda w kranie jest ciepła, bo się jakimś cudem nagrzała od prysznic. Przed snem pakuję w siebie kolejne porcje paracetamolu i przed 22.00 lądujemy w łóżczkach. Grzeje grzejnik przy oknie, jest ciepło i fajnie. Drugi dzień camino za nami.



Tak wygląda Triacastela, jak przypadkiem nie pada :)

13 maja, Triacastela – Sarria

Pobudka o 6:30. Grzejnik w nocy przestał grzać i zrobiło się naprawdę zimno. Potem okazało się, że też dlatego, że drzwi na dwór są otwarte... Nasze babcie jeszcze śpią, ale one pewnie szybciej idą. Staramy się po cichutku ogarnąć, ale całkiem się nie da: pakowanie śpiworek w folię, wyciąganie rzeczy z szafki, szeleszczenie plecakami... Na korytarzu zakładamy buty (najlepiej kłaść je na górnej półce regału na buty, wtedy ziemia z cudzych traperów nie wpada do twoich) i wyglądamy na zewnątrz. Czyżby nie padało? No niesamowite!...

Idziemy na śniadanie tam, gdzie wczoraj jedliśmy kolację, czyli do najbliższej knajpy. Zamawiamy klasyczne hiszpańskie tosty, czyli wielkie kromy chleba z masłem i dżemem. Proszę dodatkowo o wodę na rozpuszczenie paracetamolu. Zaczynamy klasyczną dyskusję, kto chrapał w nocy i każde z nas zwała winę na to drugie i Szwedki. Do knajpy wchodzi powoli kolejni pielgrzymi, w tym pewna Niemka, z którą zaczynamy rozmawiać. Okazuje się, że ma chory kręgosłup, nie może dźwigać, więc korzysta z opcji przewożenia bagażu. Musi tylko wcześniej podjąć decyzję, dokąd dziś dojdzie. Do bagażu doczepia kartkę z adresem albergi, w której zamierza nocować, bagaż sobie jedzie, a ona sobie idzie na luzie. Z tej opcji korzysta więcej osób, sporo z nich ze względu na różne schorzenia, a część dla wygody.

Po śniadaniu ruszamy pełni energii. Nadal nie pada, chociaż jest chłodno i pochmurno. No dobra, z prześwitami. Na rozstaju dróg poszliśmy w prawo, starym szlakiem, krótszą drogą do Sarrii. Dziś dojdziemy do tego magicznego punktu zero, z którego ruszają wszyscy. Strasznie jestem ciekawa tej Sarrii. Tymczasem, zaraz po opuszczeniu Triacasteli, droga wiedzie ostro pod górkę, co oczywiście powoduje u mnie zadyszkę i nienawiść do postawienia kolejnego kroku. Jestem ewenementem, schodzić mogę godzinami, taki Wąwóz Samaria nie stanowi dla mnie żadnego problemu, natomiast wchodzenie znoszę bardzo źle. Ludzie pukają się w czoło i nie wierzą, ale ludzie też zazwyczaj toną, a ja się unoszę na wodzie. To pewnie tłuszcz ;p

Na podgórce oczywiście wszyscy nas wyprzedzają, Wilczy też by wyprzedził, gdyby nie to, że musi jednak iść w moim tempie. A moje tempo pozwala na oglądanie błota i kamulców, albowiem wzdłuż drogi są albo kamienne murki, albo kamienne budyneczki, ewentualnie kamienne ruinki. Porośnięte malowniczo ubłoconym mchem. Mijamy też łąki pełne czerwonych krów z imponującymi rogami.



Mijamy budynek z krzyżem na szczycie. Okazuje się jednak, że to nie kościółek, a... art gallery. Taki sklepik z drobiazgami. Wilczy komentuje:

– Przy każdej rzeczy w sklepie powinno być napisane: cena: 5 euro, waga: 150 gramów.

No tak, bo na camino wszystko swoje waży. Więc wydajemy drobniaki, żeby ich ze sobą nie nosić. I mamy do spalenia kilka kartek z opisem trasy, która już za nami...)

Bardzo tu urokliwie. Idziemy jakąś dolinką wśród wzgórz i w związku z tym pewnie za chwilę znowu będzie pod górę. Globalnie oczywiście schodzimy, każdy kolejny nocleg jest niżej, niż poprzednie, ale to, co się dzieje w trakcie, to inna sprawa... Pofałdowanie terenu jest faktem niezaprzeczalnym... Obok płynie strumyczek. I szmerze. I ma wodospadziki. A nad nim rosną paprocie. A co jakiś czas mijamy galicyjskiego psa. Galicyjskie psy robią generalnie nic. Pojawiają się blisko siedzib ludzkich i zajmują się leżeniem na losowo wybranym boku na środku drogi. Na widok ludzi nadal robią nic, czasami tylko oko otworzą i zlustrowają, ale nie chce im się nawet drgnąć końcówką ogona na powitanie. Poza tym galicyjskie psy są duże, nie ma małych piesków, jest od razu 80 kg żywej wagi. Gdzieś w oddali pieją koguty. Po ogródkach szlajają się żaby ogrodowe pod rękę z krasnalami ogrodowymi.

Rośnie drzewo. Na drzewie leży sobie gałąź na dwóch innych gałęziach. Wilczy:

– Niebezpieczne to. Jak powieje, to gałąź spadnie i kogoś zabije.

– No, uważaj, żeby nie spadła na Ciebie... Bo zginiesz na swojej camino i napiszą Ci na nagrobku: „Tu leży Wilczy, który nie słuchał swojego psychusia”. Każdy ma swojego psychusia do słuchania...

Spotykamy dwóch dziadków. Jeden z nich rzuca żartem, że pewnie Wilczy oddaje mi swoje rzeczy do dźwigania. Śmiejemy się uprzejmie, ale przecież to Wilczy ma większy plecak i targa mój śpiworek.

Wchodzimy do San Xil. Mówię odkrywczo:

– Ja to już wszystko wiem!

– Ja to wiedziałem od dawna – komentuje Wilczy.

W San Xil jest fontanna, czyli źródelko, miejsce do nabierania wody. Patrzą na to sceptycznie i mówią:

– Tak trochę ciężko nabierać tu wody, nie wiadomo, co w niej pływa...

– No właśnie, my tu nabieramy wody, a tam sto metrów w górę krowa właśnie zapina rozporek.



Fontanna w San Xil

Docieramy do słupka 126,224 km. Nadal abstrakcja, ale widać różnicę, a to już dobrze rokuje.

Bolą mnie stopy. Nie nogi, nie łydki, nie uda, stopy. Buty mam niby wygodne, trekkingowe, a jednak czuję, jakby moje stopy były zgniecione. Nie jest gorąco, nie są spuchnięte, są zmiążdżone i bolą mnie takie kawałki kości, których bym w życiu o to nie podejrzewała. Na przykład górna część stopy nieopodal palców, z boku. E?... Narzekam głośno, w końcu jestem kobietą, marudzę zatem, ile sił w płucach. Wilczy też narzeka, ale znacznie mniej i ciszej.

- Bo ja umieram jak mężczyzna – komentuje Wilczy.
- A ja umieram jak kobieta, w związku z tym narzekam.
- Blablablablbla blablbla blabla!

Niedaleko Sarrii: pada, nie pada. Pada. Ubieramy się. Nie pada, jest gorąco, rozbieramy się. Zaczyna padać...

Mijamy sklepik za donativo, czyli co łaska. Fajnie to wygląda: we wrotach do jakiegoś budynku stał stół z wyłożonymi owocami, napojami, ciastkami i miseczką na datki. Nie byliśmy głodni, niczego nie chcieliśmy, ale miło popatrzeć.



Sklepik za donativo

Dużo ludzi idzie. Nie wiem, jak to będzie jutro, skoro już dziś były lekkie tłumki. Ludziotrada. To jutro to pewnie będzie po prostu częstochowska pielgrzymka. I jak tu sikać w krzakach?!? I w ogóle czy znajdziemy nocleg w Sarrii, skoro stamtąd ruszają ludzie, pewnie pierwszą noc spędzają właśnie w mieście...

W Sarrii, od razu na przedmieściach, doczołgaliśmy się do jakiegoś skrzyżowania z knajpą, gdzie natychmiast zalegliśmy i zapodaliśmy jedzenie. Ja wzięłam omleta z warzywami, Wilczy – mięcho, więc mu trochę tego mięcha podzarałam. A potem zaczęliśmy szukać noclegu. Absolutnym priorytetem dziś jest pokój z łazienką. Koniecznie. Z wygodnym, wielkim łóżkiem. I świętym spokojem...

Okazuje się, że jeden taki jest za rogiem. Sprawdzamy. 40 EUR, no nie da się ukryć, że jest różnica z albergą za – w sumie – 12 EUR, ale decydujemy się i na wejściu dostajemy po szklaneczce piwa. Przy okazji robimy pranie, bierzemy prysznic, psyche rozwala szampon... Ogarniamy siebie, dajemy odpocząć stopom. Wilczy z miną cierpiętnika robi mi masaż stóp :))) Za ścianą jest kuchenka, można sobie zrobić jakieś jedzenie. Jesteśmy zachwyceni, chociaż nieco niemrawo... Wilczego bolą kompletnie inne kawałki ludzika niż mnie. Ale to kompletnie inne, jakbyśmy się składali z zupełnie innych mięśni, które u drugiej osoby nie występują. W dodatku teraz okazuje się, że uda też mnie bolą. Nie wiem, od czego ;p Przeszliśmy dziś ciut ponad 19 km. Na jutro mamy zaplanowane 23 i już jestem przerażona.

Chcieliśmy pójść do miasta z tych przedmieść, ale za oknem ciągle pada i nie pada. I nie wiadomo, czy wychodzić, czy nie.

W końcu poszliśmy w miasto. Do knajpy, którą nam polecił nasz pan od noclegu. Usiedliśmy w kąciku i zaczęliśmy koncert stękania i jęków. Każdy ruch sprawia ból. Co za masakra!... Ze wstrętem myślę o pójściu do toalety, chociaż wcale nie jest daleko. W ramach nagrody i zadośćuczynienia za to, co zrobiliśmy swoim ciałom, zapodaliśmy pyszności. Najpierw ośmiornica. Gotowana, polana oliwą, posypana papryką i grubo zmieloną solą. Potem – muszle świętego Jakuba (w końcu na jego trasie jesteśmy!), zapiekane z mnóstwem pysznych dodatków. Rewelacja! Butelka białego wina niebezpiecznie szybko się skończyła...;) Na dopchanie się zamówiliśmy jeszcze krewetki.

W końcu mogliśmy opuścić knajpę i pójść wreszcie zwiedzić Sarrię. Doszliśmy do... schodów. Jebutnych schodów w górę, wielkich, szerokich, strasznie długich i z zakazem wchodzenia dla koni. Sprawdziliśmy: nie jesteśmy końmi, więc poleźliśmy ze stękaniem w górę. Po drodze jakieś sklepiki, na górze – kościół oczywiście. Z mszą dla pielgrzymów. Chyba nie mieliśmy siły, przeszliśmy jeszcze przez sklep turystyczny z paskiem do spodni i magnezem („To waży!” – warknął Wilczy), kupiliśmy jakieś picie i wróciliśmy do naszej prywatnej albergi. Nie do końca wysuszone pranie powiesiliśmy na grzejniczku i padliśmy spać. Czas dać się zregenerować mięśniom...



Sarria żyje z pielgrzymów

14 maja, Sarria – Portomarin

Nie chciało się wstać. No dobra, generalnie to wydawało mi się, że pomysł ze wstawaniem przed świtem jest koszmarny, ale okazało się, że rzeczywiście wystarczy kłaść się o 22 i nie ma problemu ze wstawaniem. I to pomimo tego, że o 6.00 w maju w Hiszpanii jeszcze nie widać słońca... Ale tym razem wstawało się ciężko, ze względu na obolałe mięśnie, które przez noc zrobiły się całkiem zastałe w swoich zakwasach. Nie było jednak wyjścia, camino wzywa, robimy śniadanie, pakujemy się i idziemy! Przez Sarrię pod górkę, potem przez cmentarz na górce, potem straszliwie w dół. W dół idę częściowo tyłem, jest łatwiej...

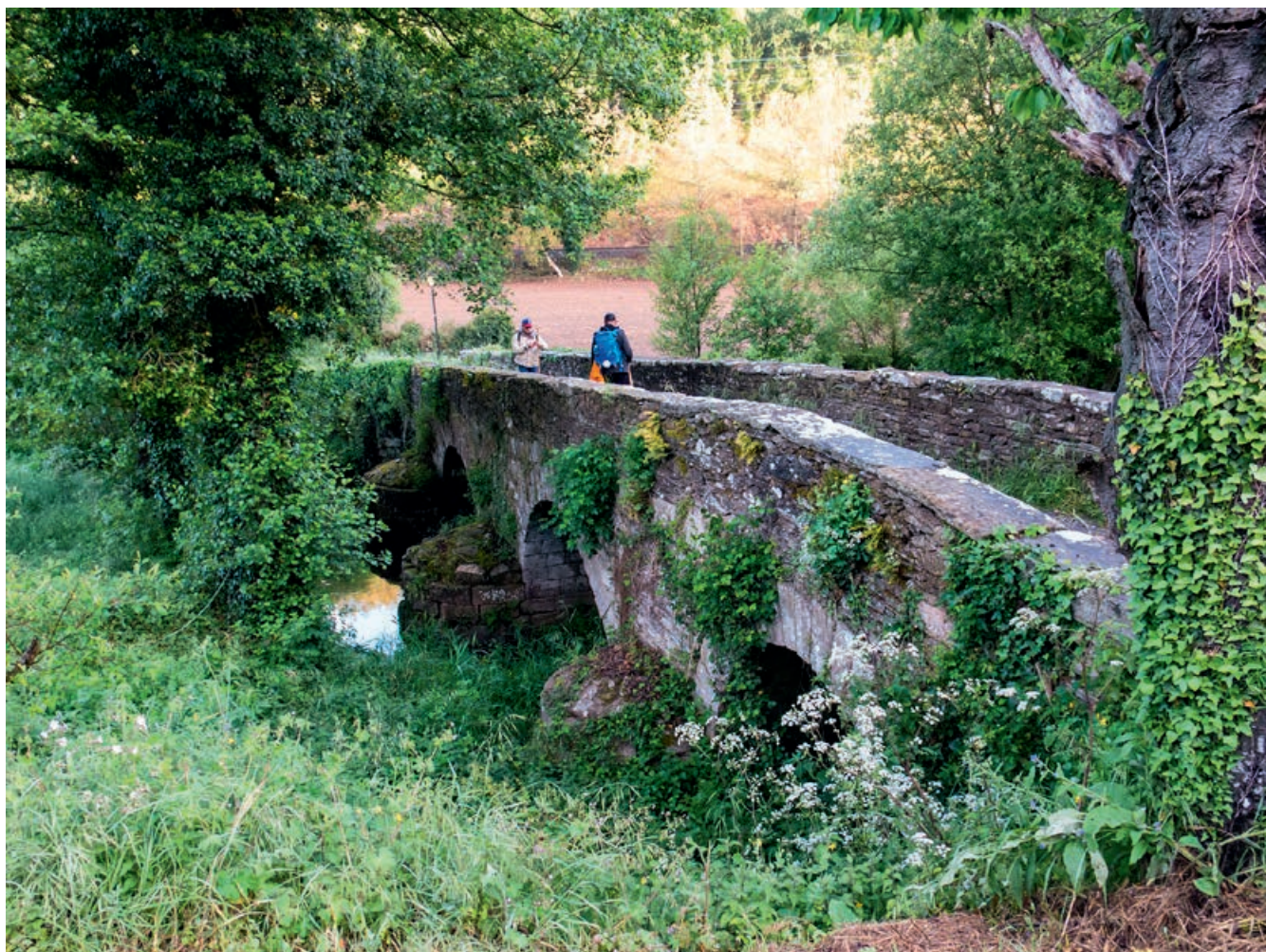
Wilczy na okoliczność poranka, w drodze, ułożył i zaśpiewał piosenkę:

– Godzina siódma minut czterdzieści, kiedy pobudka zagrała, dwójka kretynów szła do Santiago, niejedna pan-na w łeb się stukała...

Generalnie dookoła nas roi się od pielgrzymów. Autobusy chodzą normalnie. Dużo osób bez bagażu, tylko z małym plecaczkiem na wodę. Wyglądają jakoś inaczej niż ci, którzy przeszli 700 km z 8-kg plecakiem na plecach. Oczywiście, część z nich nie może dźwigać, ale patrząc na statystyki, to od Sarrii dźwigać nie może 90% pielgrzymów ;p Komentujemy ich świeże, czyste buciki, białe podeszwy, porównując z naszymi, uwalanymi błotem. W końcu jesteśmy już weterani, no czwarty (piąty od wyjścia z domu!) dzień w trasie! ;p Szaleństwo! Nas już nogi boją!...:)))

– To nie honor mieć czyste buty na camino...

– Szkoda, że spodnie uprałem.



Faktem jest, że teraz nie pada przynajmniej. I dla odmiany jest ciepło i świeci słońce. Pogoda idealna do spacerów. Z Sarii prowadziła ścieżka wśród zarośli, trochę wzdłuż rzeczki, trochę obok torów kolejowych, a także pod trasą, wybudowaną na wielkich, strasznie wysokich słupach. Niesamowite to jest, jak się na to patrzy z dołu. Tylko dlaczego ciągle jest pod górkę?

Dzięki temu, że idzie więcej ludzi, wreszcie czasami kogoś wyprzedzam. Jak ten ktoś się zatrzymuje... A nie tylko mnie ciągle wyprzedzają wszyscy ;p

– Jak przejdę camino, to już nigdy więcej nie wejdę pod żadną górkę – postanowiłam.

– Ha, ha, ha, ha! – wyśmiał mnie Wilczy. Podły...

Plener śmierdzi. Nawozami, toaletą, nie wiadomo czym. Wilczego boli kolano i co jakiś czas słyszę gromkie: „Auuuu!”. Mnie bolą obie nogi, zadek, a teraz zaczynają też boleć mięśnie brzucha (!?). Przeszliśmy przez jedną knajpę, ale tam z kolei był autobus w kiblu, więc już się nie zmieściłam. I tak idę, rozpychając się w tłumie, szukając kolejnej knajpy i nastawiając się na stanie w długiej kolejce. Trudno, uroki wędrowania od Sarii ;p „Nowi” na camino się nie witają, nie mówią: „Buen Camino” ani chociaż „¡Hola!”. Dziwnie tak trochę, bo już się do tego przyzwyczailiśmy. Z drugiej strony w tych tłumach nie dałoby rady ciągle się witać...

Tymczasem mijamy gościa, który gra na... dudach. No coś takiego! Stoi na wzgórzu, jego muzyka niesie się jeszcze daleko, daleko w dolinę. Miło tak i fajnie w sumie.

Wilczy coraz bardziej narzeka na kolano. Powoli godzę się z myślą, że będziemy musieli wsiąść do autobusu i przerwać camino. Trudno. Póki co Wilczy bandażuje sobie to kolano, żeby po pół kilometrze bandaż poprawić, bo zjeżdża, potem poprawić jeszcze raz, aż w końcu zdjąć. Zapamiętać: bandaż elastyczny nie nadaje się do chodzenia!

Idziemy trochę po błocie, trochę po ziemi, czasem po asfalcie czy żwirku. To nasz trzeci pełny dzień na camino (czwarty dzień wędrówki od Pedrafity), dzień kryzysów. Podobno wszystkich dopada trzeciego dnia... Dziś rozmawiamy praktycznie wyłącznie o tym, co nas boli, w którym miejscu, który kawałek mięśnia właśnie teraz, a który za chwilę, a który chwilę temu. Tematy są mocno jednostajne i zaczynają się od „Au, au...”. Wilczy ma kryzys kolanowy. Ja mam kryzys ludzikowy. Nie rozmawiamy o tym, jak jest pięknie (bo jest pięknie), tylko o tym, że boli. Wilczy chodzi zakosami w dół. Ja się bujam jak beczka, bo nie mogę stawiać prosto stóp. Co kawałek trzeba zrobić przystanek i zdjąć buty...



Nie ma znaczenia kolor skóry, narodowość, poglądy religijne, polityczne czy orientacja seksualna. Na camino wszyscy są pielgrzymami, bez względu na powód pielgrzymki

Zatrzymujemy się w kolejnej knajpie, w miejscowości Morgade, dosiadamy się do pary Kanadyjczyków, którzy niedługo potem ruszają dalej. Bierzymy małe piwko i kanapki. Jest ciepło i słonecznie. Przysiada się do nas para Amerykanów, których poznaliśmy dziś w drodze. On dziś zaczął i jest pełen energii i chęci zaprzyjaźnienia się, natomiast ona idzie Camino Frances niemal od początku.

Wilczy zjadł kanapkę, popił piwem i poszedł do sklepiku wybrać sobie kostur. Doszedł do wniosku, że musi spróbować z pomocą, bo inaczej nie da rady iść, poparłam gorąco i kazałam mu wybrać coś porządnego, na czym będzie można się oprzeć. Wziął sobie moje słowa do serca. Wrócił z kijem niemal większym od siebie... Potem dużo czasu minęło, zanim nauczył się z nim chodzić. Najpierw stękał i stukał, potem stukał i stękał, w końcu opracował proces stawiania nóg i kostura i jakoś poszło. Potem powiedział, że nie może schodzić z góry, może tylko wchodzić, bo jak schodzi, to go boli. Ja z kolei mogę tylko wchodzić, więc się uzupełniamy... w jęczeniu, bo rzadko kiedy jest po płaskim. Nawet najdelikatniejsze nachylenie powierzchni wyczuwamy od razu. Możemy być czujnikami nachylenia powierzchni...:)

Camino dzieli się na „przed Sarrią” i „za Sarrią”. I wszystko jest zupełnie inaczej. Na przykład słupki kilometrażowe... Łyse. To znaczy: przywalone kamykami, ale ani tabliczki z kilometrami, ani tabliczki z muszlą św. Jakuba. Wyłupane, ukradzione. No naprawdę? Myślałam, że to tylko te z okolic 100 km, ale nie – łyse słupki stały do samego Santiago. I co, jeden z drugim, postawisz sobie na półce taką ukradzioną tabliczkę i będziesz się do niej modlił? Rzucisz w ką, jak już się wszystkim pochwalisz, że jesteś złodziejem i wandalą?... Ręce opadły.



W kolejnej miejscowości trafiamy na zaułek z wiatą, nad którą jest napisane: wejdz i odpocznij. No to weszliśmy i odpoczęliśmy, zdejmowanie butów jest na porządku dziennym na każdym postoju. Potem było w dół, Wilczy chodził zakosami i stukał kijem.

- Mnie to by się dwa takie kije przydały – komentuję. – Bo ja to mam dwie bolące nogi...
- Może balkonik? – proponuje ten złośliwiec.

Obawiam się, że to jest ten moment, że balkonik wcale nie byłby taki głupi...

Mijamy sklepik z muszlami, pamiątkami, napojami i wszystkim. Muszle są piękne, każda w inny wzorek malowana, ale mamy swoje, więc tylko oglądamy, uśmiechamy się na widok tak dobrze znanej z Woodstocka tabliczki „free hugs”, kupujemy picie i idziemy dalej. Spotykamy naszych Amerykanów, kawałek wędrujemy razem. Okazuje się, że mają wujka z Polski, z Krakowa. Pan Amerykanin uczy się mówić po polsku „Dzień dobry!” i od tego momentu zawsze, jak się spotykamy, woła do nas z daleka „Dzień dobry!” :))) Dużo w nim radości i optymizmu, no skąd ten optymizm???



Most do Portomarin. I wizja miasta na wzgórzu...

Docieramy do Portomarin. Jestem wykończona. Przejście przez piękny most psuje widok miasta na wzgórzu za nim. Patrę z nienawiścią na schody, będę musiała tam wejść, dlaczego?!?... Jakos się udaje, po kawałku docieramy na szczyt. Na booking.com szukamy prywatnego pokoju, dziś też nam się należy, jeśli tak będę czuła się jutro, to nie wiem, czy dam radę iść dalej. Wilczy z kolanem też niekoniecznie. Znajdujemy jeden pokój, ale na dole jest knajpa i siedzi tam wataha motocyklistów, jest głośno, szukamy dalej. Kolejny pokój ma łazienkę na korytarzu i jest na pierwszym piętrze. Decydujemy się, pozbywamy się bagaży i idziemy w miasto, szukać apteki. Zamknięta. Jest niedziela... Odwiedzamy kościół, potem supermarket, na szczęście jest czynny. Kupujemy rzeczy na śniadanie: pasztet, bułki, chorizo. Zaraz potem trafiamy na sklep turystyczny, czynny pomimo niedzieli i późnej pory, i tam – o cudzie! – znajdujemy opaski elastyczne na kolano! Wilczy mierzy sobie różne opaseczki, pilnuję go, żeby nie wybrał zbyt ciasnej. Spaceruje po schodach, po sklepie i w końcu kupuje. Damską. Różową. No niestety, tylko ta na niego pasowała...:))) Nazwał ją czule „mój gej”. I potem w trasie mówił:

– Poczekaj, bo mi się gej zsunął, muszę go sobie poprawić.

Z zakupami powędrowaliśmy do knajpy. Zapodaliśmy menu del peregrino. Pierwsze: sałata i zielona zupa, drugie: kotlet wieprzowy z kością i morszczuk oraz deser: tarta de Santiago i flan. Wypiliśmy do tego butelkę wina. Oraz spotkaliśmy Polaków – postrzygaczy owiec... Usłyszeli, że rozmawiamy po polsku, odezwali się i opowiedzieli nam historię swojej pracy w Hiszpanii. Od tej chwili, jak tylko gdzieś widzieliśmy ostrzyżone owce, to od razu wiedzieliśmy: nasi tu byli! Albo przeciwnie: owce zarośnięte, dlaczego nie zaprosili naszych?... Swoją drogą, to byli pierwsi (i jedyni do Santiago) Polacy spotkani na camino. Chociaż ci akurat byli nie z camino. Jakoś nie wierzę, że nie było żadnych innych Polaków, ale nie rzucili się w oczy.

Jęcząc i sapiąc wdrapaliśmy się na nasze pierwsze piętro (z widokiem na kościół), z trudem udało się umyć i położyć. Noc wypełniły odgłosy cierpienia...

15 maja, Portomarin – Rosario

Zregenerowani snem sprawiedliwych ruszyliśmy w drogę. Najpierw było w dół (Wilczy się krzywił), potem w górę (psyche zipała), potem znowu w dół i tak w kółko. Wchodzisz: napieprzają jedne mięśnie. Schodzisz: okazuje się, że masz zupełnie inne mięśnie. Idziesz po płaskim, już się wydaje, że jest fajnie i nagle trach! – kolano. Albo stopa.

Zbieranie się rano zajmuje nam coraz więcej czasu. Dziś ogarnialiśmy się godzinę... A przecież tak naprawdę ani się nie kąpaliśmy, ani nie jedliśmy śniadania... (w tym momencie Wilczy się wtrąca: „Znaczy: jesteśmy głodni i śmierdzimy”). No dobra, głodni nie jesteśmy, kanapki (które wyprodukowałam wczoraj) pożarliśmy idąc. OK, głównie ja pożarłam, bo Wilczego bolało kolano. Na moje pytanie, jakim cudem kolano jest połączone z żołądkiem, odpowiedział, że rureczką. Aha...

Wilczy zgubił muszelkę. Tak po prostu jej nie ma. Postanowiliśmy kupić mu nową, bo przecież to nie honor tak iść bez muszelki. Ale próbowaliśmy całą drogę bez skutku. Na tym odcinku wszyscy już mają swoje muszelki, nikt nie sprzedaje nowych, poza tym idziemy przez wioski, w których dobrze, jeśli jest bar... („show me the way to the next whisky bar...”). Trudno, może kupimy na następnym odcinku.

Opuściliśmy Portomarin i zmierzamy przed siebie. Ale bez portu docelowego. W przewodniku dzisiejszy odcinek kończy się w Palas de Rei, ale to jest 25 km do przejścia. Raczej nie damy rady. Przejrzeliśmy materiały, żeby wiedzieć, gdzie możemy szukać noclegów i drepczemy. Przez pierwsze 8 km jest powoli, aczkolwiek stanowczo pod górkę (potem się okazało, że pod górkę było do 15. kilometra). Wilczy zadowolony, bo mniej go kolano boli, za to boli go teraz ramię od podpierania się na kosturze. Ja mniej zadowolona, bo to jednak podgórką, wołałabym w dół ;p



Znaki bywają bardzo różne, ale jednoznaczne :)

Pierwszy bar jest po 8 km. PO OŚMIU KILOMETRACH! Przecież to sadyzm, tak traktować pielgrzymów!... Dojście do niego okupione jest ogromnym cierpieniem. Siadamy, ściągamy buty natychmiast, Wilczy zapodaje sok pomarańczowy, potem jeszcze jeden. Na końcu kupuje butelkę wody za równowartość nowego Porsche Cayenne. Kolejka do kibla sięga chyba Radomia. Tłumy w ogóle, nic dziwnego, pierwszy bar od Portomarin! Odpoczywamy chwilę i w końcu z bólem serca (a może jednak nóg?) zbieramy się, żeby iść dalej. Wychodząc z baru spotykamy nasze Szwedki. Popatrzyły, popatrzyły i stwierdziły, że tu jest strasznie ciasno, więc one

pójdą dalej. I – jakby nie miały w nogach jakiejś monstrualnej liczby kilometrów – popłyły przed siebie. A my, całkiem zrezygnowani, ruszyliśmy ich śladem...)

Ciągle pod górkę. Wdrapaliśmy się na jakiś płaskowyż, bardzo pięknie tam było, potem wreszcie było ciut w dół, a Wilczemu się nieco poprawiło, bo zaczął sobie dowcpikować. Nie mogę go dogonić. On twierdzi, że go boli kolano (z założoną opaską-gejem oczywiście) i... nie może się zatrzymać. Niemal zbiega z góry, wbiega pod górę i zasuwa po płaskim wielkimi krokami. A ja za nim ledwo dyszę i tylko patrzę, czy gdzieś tam na dole się zatrzymał i na mnie czeka.

Hiszpania jest nadal obsrana. Ewentualnie śmierdzi nawozami. To bardzo aromatyczny kraj, tylko w tę drugą stronę. Wilczy mówi, że czuje rolnictwo...

Dziś camino fragmentem biegnie wzdłuż szosy, którą często musimy przekraczać. Staramy się nie wpaść pod rozpędzone samochody, które nie wiedzą, że my ledwo powłóczymy nogami. Mają tu takie piękne znaki, że uwaga, pielgrzymi, ale pewnie jak na całym świecie nie zwracają uwagi na znaki. Słupki kilometrażowe nadal bez kilometrów, za to czasami z butami. Zużytymi.

Ludzie chodzą w dziwnych butach, a czasami w ogóle bez butów. Brrr... W barze widzimy, w jakim stanie mają stopy. No to nasze są w dużo lepszym stanie – żadnych bąbli, żadnych odgniotków, poza tymi, które Wilczy sobie przywiózł ze sobą. Co on będzie sobie robił nowe odciski na camino, przywiózł własne i już je ma!... Tak czy siak, co wieczór robimy minimasaż stopom i wcieramy w nie wazelinę kosmetyczną. Może to pomaga na bąble? Może i nie, ale stopy póki co nie są poobcierane, więc jest OK.

Camino jest strasznie zaśmiecone. No, może nie strasznie, ale generalnie brakuje śmietników, bo są tylko przy knajpach, więc śmieci się walają. Papierki po batonikach, puste butelki po napojach i cała masa innych śmieci. A jeśli do knajpy jest 8 km, to nic dziwnego, że nie wszyscy chcą te odpadki nosić ze sobą... A caminowicze są bardzo różni. Jedni są wporzo, a inni to buraki, niestety. Jak to z ludźmi bywa.

Na camino brakuje też ławek. No dobra, brakuje ich mnie, bo ja muszę usiąść i zdjąć buty ;p Ale brakuje, jeśli trafiamy na jedną ławkę dziennie, to jest niezłe. Dziś trafiliśmy na taką po 13 km. I szczęśliwie właśnie się zwolniła, więc ją natychmiast zajęliśmy. Zaraz potem dopadli nas znajomi Amerykanie i pan nagrał sobie wypowiedź Wilczego na tematy lingwistyczne. Czyli, jak to jest po polsku “Dzień dobry”, “Do widzenia” i inne takie. I teraz pewnie oglądają w gronie rodzinnym moje głupie miny i Wilcze mądre tłumaczenia...;) Amerykanie powiedzieli, że umówili się z Australijczykami i Brazylijczykami na kolację w Palas de Rei w knajpie przy kościele o 19.00 i zapraszają. Ot, takie międzykontynentalne posiłki :) Podziękowaliśmy uprzejmie. Ja obstaję nadal przy tym, że nie dam rady dojść do Palas de Rei, a Wilczemu się oczka zaświeciły. Zobaczymy.

Galicja śmierdzi, jak już się rzekło. I ja to nawet rozumiem. Wilczy mówi, że czuje rolnictwo. I ja to też rozumiem. Ale Ligonde to już naprawdę przesadziło. Tu nie śmierdzi. Tu CUCHNIE! Wietrze, wiej!... Galicja składa się z kamienia, z którego zrobione są wszystkie domki, płotki i w ogóle wszystko; wielkich, płaskich psów galicyjskich, które leżą i robią nic; ogromnych traktorów oraz smrodu.

W miejscu zaginionej muszelki powiesiłam Wilczemu czapkę. Bo ciągle usiłuje ją zgubić. Biedny, chodzi teraz z gołą głową. I twierdzi, że nosi ze sobą czapkę świętego Jakuba...;) Niektórzy noszą muszelki, inni czapki, proste.

Doszłam do wniosku, że jest tylko jedno miejsce, do którego mogę pójść dalej, niż to konieczne. Knajpa z dużą ilością czerwonego wina. Wilczy mnie poparł :) Tymczasem w kolejnej knajpie wypiliśmy po soczku. W następnej zjedliśmy po lodziku. Gorąco jest, znaczy :) Pogoda wspaniała, słońeczko świeci, potem okaże się, że się zjaraliśmy, ale o kremie przeciwsłonecznym to nikt z nas nie pomyślał – a dźwigaliśmy go całą drogę na własnych plerach!...



Dotarliśmy do przedmieść Palas de Rei. Do właściwego miasta zabrakło z 1,5 km, a i tak przeszliśmy 25 km. Znowu rozbieżność kilometrówki, 25 miało być do miasta!... Jesteśmy w miejscowości Rosario. Napatoczyła się alberga, skorzystaliśmy z niej natychmiast, zameldowaliśmy się, ustaliliśmy, że będziemy spać na dolnych łóżkach (żadne z nas nie miało siły i możliwości pakowania się na górne łóżko) i... spotkaliśmy nasze Szwedki! :))) Witamy się już z nimi jak ze starymi znajomymi. Szwedki mówią, że obok jest knajpa, co przyjmujemy z radością, bo jedzenia nie mamy żadnego. Rozkładamy się, ogarniamy i idziemy zatem do knajpy. Oczywiście na menu del peregrino musimy poczekać, jest podawane (jak to często bywa) w osobnej sali i o późniejszej godzinie, tymczasem (głodni!!!) zatem zamawiamy tapasy: patatas ali oli (fryty z sosem czosnkowym) i skrzydełka kurczaka oraz duże piwo (duże to 0,4 l). Siedzimy we czwórkę, jedna pani Szwedka nam opowiada trochę o sobie, okazuje się, że była w Polsce, w Trójmieście, bo pracowała kiedyś na statkach. Poza tym jest programistką w COBOL-u. Oraz dziennikarką – freelancerem. Normalnie człowiek orkiestra :)

Do kolacji bierzemy butelkę wina (należy się 0,5 litra na głowę, kocham to <3), ale po zjedzeniu tapasów i piwie mamy problem, żeby to w siebie wszystko wepchnąć. Nad deserem siedzimy już z minami cierpiętника. Zresztą deser to jakieś kupne ciastko, wcale nie było dobre. A chleba nie tknęliśmy nawet. Obok siedzą jakieś dwa autobusy. Widać, że zorganizowane camino. My jesteśmy bardzo niezorganizowane camino. Wręcz chaotyczne :)

Prysznice w alberdze są na tym samym poziomie, co spanie – na szczęście, nie trzeba biegać po schodach. Klasyka, czyli otwarte przestrzenie bez żadnych zasłonek. Za to z wielkimi robalami (niegroźne, też widocznie chciały się wykapać). Buty pierwszy raz zabieramy do dormitorium, nie bardzo znalazłszy miejsce na nie na zewnątrz. I... znajdujemy muszelkę Wilczego! Okazuje się, że przeszła całą dzisiejszą trasę nieco incognito, bo... w dolnej kieszeni plecaka. Urwała się, owszem, schowała i siedziała cicho całą drogę! Wilczy się cieszy, przywiązuje ją porządnie i od jutra znów będzie omuszelkowany :)

16 maja, Rosario – Boente

Zjarailiśmy się wczoraj na skwarki. Dziś boli nas cała skóra wszędzie, to znaczy mnie na rękach, Wilczego na karku i głowie. Za to nieco mniej bolą mnie nogi. Żeby się ilość bólu i cierpienia wyrównała...

Okazało się, że byliśmy bardzo blisko Palas de Rei, praktycznie kilka kroków. Weszliśmy na śniadanie do pewnej spelunki. Razem z nami było tam dwóch czy trzech panów, którzy o 7:30 na śniadanie żłopali coś mocniejszego. My postanowiliśmy zjeść śniadanie bardziej tradycyjne :)

Wilczemu ludzie na trasie pokazują uniesione do góry kciuki. Wszystko przez to, że kuśtyka. Ludzie myślą, że on taki dzielny, bo pewnie ma chorą nogę (no, bo ma ;p), a mimo to idzie, pewnie w intencji naprawienia tej nogi. I co ludzik, to kciuk :) No bardzo to miłe.

Idziemy przez piękne rejony, dużo zielonego, rozszalała przyroda, zarośnięte drzewa. Bardzo tu urokliwie. Ścieżka z dala od cywilizacji. Moje urządzenie wielofunkcyjne o nazwie Wilczy jest poziomicą (bo reaguje na każde nachylenie terenu jękami kolanowymi) oraz światłomierzem (bo reaguje stękaniami na słońce). No i robię mu zdjęcie pod drogowaskazem „Casanova” :)

Po camino oczywiście idą tłumy, czyli autobusy, ale dziś to już przesadziły. Dzisiaj minął nas autobus szkolny. Banda młodzieży kompletnie niezainteresowana niczym, poza najnowszymi hitami (idą i drą się do puszczonej z telefonu muzyki: „Despacito!”). W ogóle jak dla nas to biegną, wędrują bardzo szybko, bez bagażu, zagadani, zajęci muzą z telefonów. Krzyczą, awanturują się, nie obchodzi ich, dokąd idą i o co chodzi z tą drogą. Po co ich ciągnąć na takie wycieczki?



Dzisiejszy odcinek wg przewodnika obejmuje prawie 30 km. Ignorujemy przewodnik, nie ma takiej siły, która by nas tyle przegnała. Nie planujemy noclegu póki co, ale sprawdzamy, gdzie są albergi. W dodatku bardziej trzymamy się endomondo i aplikacji, niż przewodnika, który kłamie w kwestii kilometrów.

Po 6 km zatrzymujemy się na soczek pomarańczowy. Spotykamy tam naszych Amerykanów, Kanadyjczyków i Niemkę, a Wilczy mówi, że widział jedną Szwedkę. Tłumy znajomych się szwendają po tych barach, no :) Po kolejnych 4 km zatrzymujemy się na jedzenie. Zapodaliśmy menu del peregrino, ale jedno na szczęście. I piwo. Wilczy zaanektował siedzonka od innego stolika na rozwieszenie swojej mokrej bielizny. Upał. Słońce. Ruszamy z knajpy i podśpiewujemy: „Vamos a la playa”. Błoto pod naszymi butami mlaska. Podgórkę wzbudzają moją głęboką nienawiść. Wilczy nienawidzi zgórek. Podgórkasy i zgórkasy są naszymi wrogami.

– Nie można było, kurczę, tunelu wykopać!?! – awanturuję się przed kolejną podgórką. – Tylko tak ciągle w górkę i w dół i w kółko!?!

– A potem w credencialu co? – pyta Wilczy. – Państwo pieszo, rowerem czy metrem?

– Ja metrem poproszę...

Od wczoraj po kilkunastu kilometrach zmieniam buty na sandały. Nie dają rady iść ze zmiażdżonymi stopami dalej po prostu. Kiełkująca myśl o zmianie butów na stałe niestety musi zostać zduszona w zarodku. Stopy za bardzo się ślizgają w sandałach na nierównościach i skończy to się bąblami. A bąbli wolę teraz sobie nie narobić jednak. Celujemy w albergę w Boente. Co prawda w jednym przewodniku w ogóle o Boente nie wspominają, w drugim natomiast piszą, że jest 30 miejsc i bezosobowo, ale obawiam się, że następne miejsce do spania może być za 5,5 km i mogę nie dać rady. Zastanawiam się nad zadzwonieniem tam i zarezerwowaniem miejsca, ale póki co idziemy. Teraz już w bliższej okolicy szosy, chociaż lasem. I w dół. Wąwozem. Droga ma ściany... Cywilizacja wróciła. Docieramy do miasta Melide. Tutaj nasza Camino Frances łączy się z Camino Primitivo, czyli szlakiem zaczynającym się w Oviedo. Długie przedmieścia, jakieś zakłady przemysłowe, studnia z wodą – to jedno z ważniejszych miejsc przy drodze. Kochamy studnie, napełniamy od razu wszystkie butelki i ochlapujemy ludziki. Od razu przyjemniej w tym upale.

Przez Melide przeszliśmy spacerkiem, zatrzymując się jednakowoż w knajpie na soczek i lody. Knajpa z widokiem na skwer i ulicę, idealnie. Akurat podjechała ciężarówka i nam ten piękny widok zasłoniła, bo pan robił wyładunek towaru. Zmieniłam buty i poszliśmy dalej.

– Co ty mi tu jakieś complementario odwalasz – warknął Wilczy, kiedy skręciłam na cmentarz, pooglądać kolumbaria. No bo kolumbaria mają tu przepiękne, te nasze to się w ogóle nie umywają, oni takie pałacyki budują i półeczki za szkłem, można tam stawiać wazoniki z kwiatkami i obrazki i w ogóle. Nie to, co u nas, betonowa ściana.

W jednej z wiosek natykamy się na kartkę z napisem: “Drogi pielgrzymie, nie pozwalaj, aby psy szły z Tobą, bo te psy zazwyczaj mają jakiś dom, a jak pójdą za Tobą, to będą już bezdomne”. Co racja, to racja. Na szczęście za nami żadne psy nie szły, bo spotykaliśmy głównie psy galicyjskie, a one nie szły w ogóle nigdzie, bo to były płaskie psy.



Wilczy stempluje paszport pielgrzyma w sklepiku przydrożnym

Nadal fascynują nas małe, wąskie domki, budowane na podwyższeniu – przynajmniej dwa metry nad ziemią, z drzwiczkami, ażurowymi ścianami i stromymi schodkami. Do czego one mogą służyć? Mnie kojarzą się z jakąś suszarnią na jakieś inne spożywcze sytuacje, ale czym są faktycznie? Co ciekawe, gdzieś tam stoją pomniki tych budyneków, miniaturki. Można też je kupić w ramach pamiątek. Dopiero w Santiago, kupując jakieś inne paści, zapytaliśmy w sklepie, co to takiego i okazało się, że trafiliśmy – to były spizarnie – hórreo. Były budowane na podwyższeniu, aby uniknąć wizyt gryzoni.

Dotarliśmy do Boente. Za nami 23,5 km. Na szczęście były jeszcze miejsca w alberdze. Pierwszej, do której zajrzeliśmy (w miasteczku są dwie). Weszliśmy do małego dormitorium (na 8 łóżek) i... spotkaliśmy tam nasze Szwedki! :))) Ucieszyliśmy się szalenie. Po czym poszliśmy prać skarpetki... No, bo w alberdze była pralka i suszarka, a my mieliśmy masę już brudnych ciuchów, więc skorzystaliśmy z okazji. Większość caminowiczów prała pewnie swoje ciuchy w umywalce, a potem wieszła na sznurkach na patio, my poszliśmy za ciosem i postanowiliśmy skorzystać z suszarki, bo raz, że szybciej, dwa, że zapowiadali deszcz. I faktycznie deszcz wieczorem przyszedł po cichutku.

Tymczasem trzeba było znaleźć łazienkę. Na dole, obok naszego dormitorium, był damski prysznic, a gdzieś na górze – męski. Wilczy dzielnie powędrował na górę i spotkanego po drodze faceta zapytał:

– Excuse me, where is the shower?

Na co gość mu odpowiedział bardziej swojsko:

– Ja ne rosumiem, ja Slovak!

Od tego momentu mieliśmy nowych znajomych :)))

Do kolacji (menu del peregrino) dostaliśmy od naszych Szwedek po truskawce (mniem :). Kiedy przyszedł czas na deser, poprosiłam młodego chłopczyka, który zbierał naczynia, o dwa flany. Chłopczyk kiwnął głową i zniknął, a zaraz potem przyszła pani z obsługi i zapytała, co chcemy na deser. Zamiast powtórzyć zamówienie, wyszczebiałam, że już zamówiliśmy u jednego (miało być młodego chłopca) small guy... Pani popatrzyła na mnie dziwnie, Wilczy zabił mnie wzrokiem i siedział z miną: „Sama napsułaś, to teraz sama naprawiaj”, a ja straciłam język. W każdym razie w końcu dostaliśmy nasz deser, a small guy omijał nasz stolik konsekwentnie do końca kolacji! :)

Po kolacji zamówiliśmy jeszcze butelkę wina i usiedliśmy na patio. Oraz obejrzelśmy basen, pusty. Bez wody w sensie. Może maj to jeszcze za wcześnie. I obserwowaliśmy życie albergowe: ktoś dzwonił do domu, ktoś zbierał pranie ze sznurków. Przyszedł jeden starszy pan w okularkach, zgarnął skarpetki i majtał sobie nimi. Wilczy skomentował:

– Roberto zszedł po schodach żonglując skarpetkami.

Przysiedli się do nas Słowacy. Rozmowa toczyła się głównie wokół alkoholu. Okazuje się, że polska wódka dla nich to dobra wódka, że oni do nas jeżdżą po alkohol. To zupełnie tak, jak my do nich!...

Wszyscy poszli spać, a my pijemy wino.

Wilczy twierdzi, że nasze Szwedki, dzieląc się z nami swoimi planami na następny dzień, robią to specjalnie, żeby nam dać szansę, żeby ich nie spotkać. Faktem jest, że one chcą dojść do Santa Irene, a my raczej planujemy krótszy odcinek, więc i tak się pewnie nie spotkamy ;p

17 maja, Boente – Santa Irene

Nocny deszczyk nie odpuścił, poranek też jest deszczowy. W nocy było strasznie gorąco i duszno, pomimo otwartego okna. Klamka od drzwi straszliwie skrzypiała i jak wychodziłam do toalety, to chyba obudziłam pół sali. A na pewno tego gościa, co spał tuż przy drzwiach. Przed świtem, przed 7 rano, pakujemy nasze plecaki, chronimy je od deszczu (torebka foliowa do komina!), zakładamy buciory i... na śniadanie do sąsiedniego pomieszczenia. Alberga jest połączona z knajpą, więc daleko nie mieliśmy :) A potem w drogę. Tylko jeszcze wilczy kostur, bo byśmy się wracali...;p

Spotkaliśmy kota. Kot miauczał, co było samo w sobie dziwne, bo koty na nasz widok zazwyczaj uciekają. Ten miauczał i przyszedł się do nas pogłaskać. O nas. Jak już dopieściliśmy kota, to Wilczy powiedział, że on na pewno ma wszy. Jak na komendę spojrzeliśmy na swoje ręce... Znowu jest pod górkę. Wilczy mnie pociesza:

– Zaraz będzie zejście – chwila ciszy – śmiertelne.

Wilczy to ma jakieś chody na camino. Chce zawiązać buta – proszę bardzo – od razu ma jakiś kamień czy schodek. Jak ja chcę zawiązać buta, to nic z tych rzeczy. Jak muszę usiąść, żeby zdjąć buty – nigdzie nie ma nawet murka kamiennego, nic. Za to wszędzie jest mokre bagno.



Udało się znaleźć murek! No to szybki masaż stóp :)

Zatrzymaliśmy się w barze i sprawdziliśmy profil trasy. Do Arzuy pod górkę. Ale nikt nie mówił, że tak stromo i że tak od razu z baru... Toczę się więc, Wilczy mi śpiewa, że no future. Wokół pełno wróbli. Tłuste wróble. Fruwają, ćwierkają... Skąd one mają tyle energii??? Dookoła pola, drzewka, łąki, daleko chmury w górach. Palmy. Asphalt. Podgórkas. Nagrywam to wszystko na dyktafon, a Wilczy na to:

– Czy ty wiesz, że jak gadasz podczas podchodzenia pod górkę, to się bardziej męczysz? Potem będziesz narzekać, że nie masz już siły!

– Bo nie mam! – odwarkuję. – Ja tej siły nie mam już od sześciu dni!

– Blabla bla blabla bla!

Pojawiły się kosze na śmieci. Tabliczek na słupkach kilometrażowych oczywiście nadal żadnych nie ma. Wydłubali tabliczki z kilometrami, z muszlą i tylko strzałek nie wydłubali, bo już były wydłubane fabrycznie.

Doszliśmy do Arzua. Tutaj z kolei do Camino Frances dołącza Camino del Norte, czyli szlak północny. Bardzo chciałam dojść do centrum, tylko nie bardzo było wiadomo, gdzie to centrum jest. I tak przeszliśmy całe miasto i trafiliśmy w końcu – żeby się nie wracać – do ostatniego baru. NAJGORSZY BAR EVER. Wzięliśmy herbatę. Oni mają tutaj niedobrą wodę, w kawie tego tak nie czuć, ale herbata po prostu smakuje obrzydliwie, zażelazona ta woda jest albo coś, nie wiem. Ale niedobra. Poprosiliśmy o kartę, pani nie mogła tej karty znaleźć... w ogóle oglądała serial i niestety jej przeszkodziliśmy. Chcieliśmy zjeść kromki, kromek nie było, to wzięliśmy kalmary. To był też straszny błąd... Kalmary były usmażone na starym tłuszczu, niedobre, śmierdzące. W knajpie było brudno. Nigdy więcej! Omijajcie to miejsce z daleka, chociaż leży na szlaku. No fucking way!

Dalej szliśmy jakimiś opłotkami, potem wróciła rozszalała przyroda, droga znów biegła wąwozem. Drzewa obrosnięte jakimś bluszczem. Bardzo tu ładnie. Jakoś mniej ludzi spotykamy, pewnie dlatego, że większość ani chybi nocowała według przewodnika – w Arzua, więc cały ten tabun się już przewalił tędy ze dwie godziny temu. Nie narzekam :) Właściwie nie pada. Ale cały czas idziemy dróżką kamienisto-błotną.

Co jakiś czas zatrzymujemy się na zdjęcie butów, gdzieś w plenerze, jak jest miejsce, żeby posadzić zady. Po jednym z takich postojów Wilczy zakłada kurtkę, plecak, spina się pasem biodrowym i ze zdziwieniem komentuje:

– Jak to, przytyłem?!?...

– Jeszcze batonika, kochanie? – odpowiadam natychmiast.

Zatrzymaliśmy się w jakimś barze po drodze. Spotkaliśmy tam nasze Szwedki, ale też parę młodych Niemców z dzieckiem. Widujemy ich od kilku dni regularnie w różnych barach i uśmiechamy się do siebie, ale nie nawiązaliśmy bliższej znajomości. Dziecko było naprawdę malutkie i jechało w wózku. No szacun i podziw, bo czasami te drogi są strasznie niefortunne do wędrowania, nie mówiąc już w ogóle o wózkach czy rowerach. Na przykład kamienne zejście w dół, które byłoby schodami, gdyby kamienie były lepiej ułożone, a tymczasem idąc musisz przemyśleć każdy krok. Gdzie postawić teraz stopę, żeby nie zjechać po mokrych kamulcach i nie rozwalić sobie głowy ani kręgosłupa?... No naprawdę szacun. I otóż okazało się, że to chyba nie do końca są Niemcy, bo gaworzyli z naszymi Szwedkami w języku kompletnie niezrozumiałym. Ale kto ich tam wie :)

Zaraz po wyjściu z baru minęła nas banda rowerzystów, którzy jechali zdecydowanie zbyt szybko. Niestety, takie kwiatki też się na camino zdarzają. Cudem nie wpadli na nas i nas nie pozabijali, a razem z nami też siebie, bo nie zachowali bezpiecznej odległości, a z górki było. No i musisz mieć, pielgrzymie, oczy dookoła głowy, bo inni nie myślą ;p

W pewnym momencie minęła nas babcia Szwedka, Britta, która postukując swoimi kijkami powędrowała szybciej przed siebie. Kilka chwil potem dotarła do nas druga Szwedka, Elisabeth, pytając czy widzieliśmy Brittę. Jasne, minęła nas przed chwilą, zaraz ją dogonisz. Za jakiś kilometr minęła nas znowu Britta i zapytała, czy widzieliśmy Elisabeth.

– Bo ja zgubiłam drogę – stwierdziła radośnie. W efekcie tak się goniły obie całą dzisiejszą trasą i spotkały się dopiero w alberdze – dobrze, że trafiły do tej samej...:)

Wilczemu się poprawiło i popyla z kijaszkiem pod ręką. Ja mam wrażenie, że cały czas czuję się gorzej od niego. On to wygląda na zadowolonego z życia, a mnie bolą stópki. I nie mogę zdjąć buciorów, bo jest zimno i mokro.

Natrafiamy na ścianę złotych myśli. To się nazywa „The Wall of Wisdom” („El muro de la sabiduría”) i jest pełne karteczek z tekstami po hiszpańsku i tłumaczeniem na angielski. Trochę czytamy, potem się orientujemy, że wszystko jest w internetach, więc idziemy dalej. W internetach jest jednakowoż wyłącznie po hiszpańsku, czyli trzeba się uczyć języka :)



The Wall of Wisdom

Co jakiś czas spotykamy miejsca upamiętniające innych pielgrzymów, którzy zostali na camino na zawsze. Leży przy nich dużo kamyków, które zostawiają inni pielgrzymi. Na pamiątkę. Czasami w takich miejscach są święte obrazki, kartki z modlitwami, jakieś wstążeczki czy inne ozdoby. Zawsze przyciągają wzrok i warto się na chwilę zatrzymać.

Camino sprowadza wszystko do najprostszych rzeczy. Robi ci pranie z mózgu. Masz podstawowe potrzeby: znaleźć miejsce do spania, znaleźć jedzenie. Usiąść i zdjąć buty. To najbardziej podstawowa potrzeba camino-wicza. Żadnych tam wyższych celów. Zdjąć buty...

Dotarliśmy do A Salceda. Planowaliśmy tutaj zostać na noc. Ale gdy dotarliśmy do jakiejś albergi, to bardzo nam się nie spodobał pan, który tę albergę prowadził i nawet nie bardzo nam się chciało oglądać ją od środka. Odpoczęliśmy tylko chwilę przed nią na krzeselkach plastikowych, miejsca zajęła banda rowerzystów, a my przeszliśmy kawałeczek dalej i klapnęliśmy w knajpie. Na herbatce. Podjęliśmy decyzję, że idziemy dalej, do Santa Irene. Miało być co prawda lekko pod górkę, ale za to lasem, nie szosą. Wilczy zadzwonił do prywatnej albergi w Santa Irene, żeby zarezerwować nocleg, bo jakby tam nie było miejsc, to mogła. Średnio się dogadał, ale idziemy z nadzieją...



Dotarliśmy wiele jęków i narzekań dalej. Kilometr przed albergą była knajpa, ale uznaliśmy, że chyba nas w tej alberdze nakarmią. Okazało się, że i owszem, będzie i kolacja, i śniadanie, jeśli je sobie zamówimy, natomiast pani była przekonana, że przyjdziemy... jutro! Na szczęście były wolne łóżka i to jakie! Też piętrowe, ale drewniane, przepiękne. Zajęliśmy dwa dolne w dormitorium na 11 osób. Lampki przy łóżkach, duży stół z księgą gości, ręczniki, pościel, koce, zamykane prysznice, a w części wspólnej – kominek, pianino!... Szaleństwo. Oczekiwaliśmy tu naszych Szwedek, ale musiały nocować w innej alberdze. My natomiast poznaliśmy Niemca, który idzie od Pampeluny i powiedział, że nigdy więcej. Że w domu ma żonę i jemu się nudzi na tym camino, że on tęskni za domem. Poza tym rozmowa przebiegała tak:

– Rozumiecie po niemiecku? – zapytał Niemiec po angielsku.

– Nie bardzo, raczej po angielsku – odpowiedział Wilczy.

– Aha – przyjął do wiadomości Niemiec i dalej zasuwał do nas po niemiecku. No i Wilczy bardzo się starał zrozumieć :)

Podano kolację, do kolacji wzięliśmy standardowo butelkę wina. Po kolacji proponowano nam jeszcze po kieliszeczku naleweczki. Nasz Niemiec wziął, wypił i stwierdził, że mocna, oj mocna. Wilczy chlapnął i stwierdził: „E, maksymalnie ze 35%” ;))) Co oni wiedzą o mocnych alkoholach!... A po kolacji usiedliśmy przy kominku i porozmawialiśmy z Włochami, którzy razem to mieli ze 140 lat :) Zaczęli w Saint-Jean-Pied-de-Port i chcą dojść do Finisterry. Takiemu dziadkowi to nawet skarpety do sandałów się wybacza. Włosi zrobili dokładnie ten sam manewr co Niemiec, czyli rozmawiali z nami po włosku. Wilczy był zachwycony, lingwista jeden, ale prawdę mówiąc rozumiał z 10% tego, co oni tam gaworzyli...;)))

A jak usiłowaliśmy zasnąć, to za oknem ptaszki urządziły właśnie koncert i darły dzioby. A była to 21:30.

18 maja, Santa Irene – Santiago de Compostela

Śniadanie miało być o 7.00. Razem z nami na śniadanie polowali Włosi. Wszyscy odbiliśmy się od zamkniętych na głucho drzwi do jadalni. Trochę po 7 przysłała z zewnątrz jakaś pani, która nas wpuściła do jadalni i dopiero zaczęła przygotowywać to śniadanie. Finalnie było gdzieś koło 7:15. Czas płynie w Hiszpanii inaczej. Za to naprawdę się najedliśmy: dwie wielkie przypieczone kromy chleba, dżem, wielki plaster sera i plaster dżemu, ciasteczko i sucharek. Dostaliśmy kawę, chociaż zamawialiśmy herbatę. Hiszpania...

Jak kończyliśmy śniadanie, lunęło. Na szczęście krótko, chociaż treściwie. I jak wychodziliśmy, to już prawie skończyło. Idziemy, machając kosturkiem. Niestety, trasa wiedzie wzdłuż szosy i strasznie hałasują ciężarówki. W nocy też hałasowały. Wiem, bo nie mogłam spać, bo mnie nogi bolały. Wilczy mówi, że też nie mógł spać, ale on łąze, bo słyszałam, jak chrapał.

- No skoro chrapałem, to nie mogłem zasnąć, przecież to hałas!
- I to jak chrapałeś... Dżezowo, bez żadnego rytmu!...
- Poczułem nagle w nocy, że psyche mnie czule obmacuje i tłumaczy coś o chrapaniu...
- Machnęłam ręką i trafiłam na łapę, więc pociągnęłam za palec!

Zimno jest. Zakładam rękawiczki. Zupełnie jak pierwszego dnia. Czapki, polary, koszule, kurtki, chustki na szyi...



Gdzieś po drodze o poranku

Jak wygląda dzień pielgrzyma? O godzinie 6.00 zaczyna się ruch w dormitorium i świecenie latarkami. O godzinie 6:30 dzwoni budzik, ale i tak nie ma cię już w łóżku, bo polazłeś sikać, bo i tak wszyscy hałasują i nie da się spać. O 6:30 zapala się też światło, więc już można przestać bunkrować się z latarkami, które i tak świecą innym po oczach. Pielgrzymi strasznie hałasują torebkami foliowymi albo suwakami, a potem idą na śniadanie albo przed siebie. Tylko jeszcze przedtem trzeba znaleźć buty, które zazwyczaj są w innym miejscu. Butów w dormitorium się nie trzyma ze względu na zapach i brud :) Fajnie jest, jeśli śniadanie jest w alberdze, bo można sobie po nim jeszcze zęby umyć, zanim się ruszy w drogę. Niektórzy idą bez śniadania i zatrzymują się na jedzenie dopiero kilka kilometrów dalej. My nie. My bez śniadania nie funkcjonujemy. Są też tacy, którzy mają własne jedzenie i sami sobie ogarniają śniadanie. My nie – zazwyczaj ;) A potem idziesz i na początku masz jeszcze dużo siły i energii. A w pewnym momencie zaczynasz liczyć drogę od baru do baru, od miejsca, w którym możesz wrzucić w siebie jakiś napój, do miejsca, w którym możesz wrzucić w siebie jakąś kanapkę. I zdjąć buty. I potem dochodzisz do miejsca, do którego zamierzałeś dojść i znajdujesz albergę i błagasz o łóżko na dole, żeby nie trzeba było się wspinać... i czasami nawet na to pozwalają, jeśli jest dużo miejsca. W alberdze zaczynasz od rozłożenia swoich gratów, potem bierzesz prysznic, bo bez tego strach się na kolacji pokazać i są tacy, którzy po tym prysznicu leżą i odpoczywają, ale to znowu nie my. Bo my to mamy zawsze coś jeszcze do zrobienia. A to pranie, a to trzeba sklepu poszukać albo apteki. Kolacja w alberdze jest zazwyczaj o 19:30 i zanim doczekasz do tej kolacji, to już siedem razy umierasz z głodu. Jeśli jesteś w knajpie, to zamawiasz coś innego, żeby doczekać do kolacji, a jeśli nie ma takiej opcji, to zaciskasz zęby i czekasz ;) A po kolacji wszyscy grzecznie idą spać. To znowu nie my. My bierzemy jeszcze jedno wino... bo jesteśmy z biednego kraju i jako jedyni zamawiamy wino do kolacji...

Wilczy narzeka, że go ręka od kostura boli. Ale twierdzi, że on wcale nie narzeka na kija, bo kij to jego przyjaciel. On ma samych przyjaciół: różowego geja na nodze (opaskę elastyczną) i drewnianego w łapce. Strach się bać, banda łysego :))) W tej czarnej czapce wygląda jak oprych...



Mroczny las ;) Już coraz bliżej

Drogę umiła nam śpiewanie. Muzyczna camino. Lecą wszystkie hity i przeboje. A to „Pięć minut”, a to „Mam swoje miejsce przy barze”, a to wszystkie kawałki związane z drogą i wędrówką. „Iść, ciągle iść w stronę słońca”. „Wszystkie drogi prowadzą do Santiago”. Jak już nie mamy co śpiewać, to leci „Vamos a la playa” (często w wersji „vamos al bar”) albo „Show me the way to the next whisky bar”. Wilczy śpiewa znieścacka: „Kiedy drogą szła piechota, co to była za głupota...”. Potem coś było o pielgrzymach-debilach, ale niestety tekst nie został uwieczniony... Może to i lepiej ;p No i najważniejsze: „Znów mnie wzywa szlak!”

– Cicho, osłe – reaguje Wilczy.

Teraz mnie zaczęło boleć kolano. No jeszcze tego brakuje. Do Santiago mamy ze 22 km. Najpóźniej jutro tam będziemy. Dziś na pewno dotrzemy do Monte do Gozo, może do polskiej abergi, która tam jest. A potem się zobaczy. W razie czego miejsca nie zabraknie, tam może nocować kilka tysięcy osób.

Idziemy przez czarny i mroczny las. Słońce to tu chyba w ogóle nie dochodzi. Potem mijamy pola i zagrody z... ostrzyżonymi owcami. No nasi tu byli :)

Zatrzymaliśmy się w jednej knajpce na jedzenie i odpoczynek. Knajpa miała wejście do toalety na kod z paragonu, ale to chyba dawno przestało działać, bo wszyscy wchodzili tak po prostu. Zjedliśmy trochę mięska, trochę frytek, trochę zieleniny, popiliśmy i rozmawialiśmy ze sobą, ponieważ na ścianie knajpy stało: „Nie ma Wi-Fi. Rozmawiajcie ze sobą”.

Po skończonym obiedzie numer jeden rzekłam do Wilczego, żeby go poderwać do działania:

– Turlaj żołędzia!

No i poturlał. Do wyjścia. A tuż za progiem spotkaliśmy nasze Szwedki! One właśnie mościły się przy stoliku na zewnątrz. No i od razu tak różnie na camino z tymi Szwedkami, bo bez nich to ja się czułam strasznie niewyraźnie. Normalnie koniec wieku, nerwówka przedsylwestrowa i w ogóle strach, że się już więcej nie zobaczymy! A tak, to proszę, są Szwedki, można iść dalej :)

Po drodze mijamy lotnisko. Wilczy oczywiście zachwycony ogląda wszystkie urządzenia, które są widoczne. Nawet przez chwilę czekamy, czy przypadkiem nie przyleci jakiś samolot, żeby pobawić się w spotterów. Ale nic z tego. Natomiast przy płocie lotniska stoi sobie stoisko z pamiątkami pielgrzymimi i tam wyczajamy piękne, żółte strzałeczki caminowe. Jako piny. Musimy je mieć! Kupujemy, wpinamy obok naszych flag. Strzałki natychmiast obracają się w dół. Poprawiamy. Strzałki się przekręcają. Poprawiamy. Strzałki... No cóż. Siła grawitacji!

Wilczy mi grozi, że mnie dociągnie do Santiago dziś. Ja trochę protestuję, bo z Monte do Gozo to jeszcze z 5 km jest, ale ostatecznie jeździ jakiś autobus za 2 EUR, więc damy radę. Szwedki postanowiły nocować właśnie w Monte do Gozo. Ale na pewno spotkamy się jeszcze w Santiago w katedrze. Albo w Biurze Pielgrzyma. No nie ma siły, musimy się spotkać! W ogóle (bo już idziemy pilnie dalej) mieliśmy pozwolić się Szwedkom dogonić, żeby sobie zrobić wspólne pamiątkowe zdjęcie, ale Wilczy ma motorek w kijaszku i ten motorek gna go do przodu. Nie ma, że wolniej. A ja z tyłu po prostu czołgam się po glebie i błagam o wybaczenie...



My i nasze Szwedki! :)

Widać, że to już przedmieścia. Idziemy przez wioski z odpicowanymi chatami i zadbanymi ogródkami. Wilczy – lingwista w ciągu ostatniej pół godziny użył: niemieckiego, hiszpańskiego, polskiego, słowackiego i właściwie to nie wiem, czy nie usiłował czegoś mówić po węgiersku, bo Węgra też spotkaliśmy. Ja z nim zwariuję po prostu. Ja bym chciała, żeby on gadał po ludzku, a on coś bajdurzy od rzeczy we wszystkich językach świata! Usiedliśmy pod czymś w rodzaju wiaty przystankowej pod jakąś telewizją na popas, Wilczy wyjął babeczki ze śniadania i mówi:

– A je to panska babeczka? Nee, moja ne była taka plaskata!

Ludzie są jacyś radośniejsi, widocznie ciągnie konie do stajni, zostało wszak około 10 km do celu, czyli katedry w Santiago. Siedzimy pod tą wiatą i odpoczywamy bez butów, minęły nas nasze Szwedki i stado innych pielgrzymów. Wszyscy pytają, czy czekamy na autobus, a my wszak nawet nie wiemy, czy tu jeździ jakiś autobus. Stała wiatka z ławeczką, to grzech było nie skorzystać, nie? Potem okazało się, że autobus jeździ. O 14:29 spod telewizji do miasta :) Ale jednak twardo dalej poszliśmy na nogach.

Doturlaliśmy się do Monte do Gozo. Stanęliśmy na rozstajach dróg, wybraliśmy jedną z nich i doszliśmy do pomnika Monte do Gozo, który nam się strasznie nie spodobał. Pod nim, na ścianie sklepiku, wisi banner reklamujący polską albergę. No i spotkaliśmy znowu Szwedki i zrobiliśmy sobie to pamiątkowe zdjęcie, uffff. Zaliczone :) Przysięgamy sobie utrzymanie kontaktu, życzymy Szwedkom zdrowia i jednak idziemy dalej, bo w końcu Wilczy zarezerwował pokój z łazienką w centrum, rzut beretem od katedry. Jednak go zmusiłam.

Drogi jak nieszczęście, 50 EUR, ale dziś będzie rozpusta. Dziś skończy się nasza pielgrzymka. Ten zapach stajni dodaje nam sił ;p

Przechodzimy obok całego miasteczka albergowego. Wygląda to jak stado baraków, obóz normalnie, może gdyby tu byli ludzie, gdyby to żyło, to sprawiałoby trochę lepsze wrażenie, a tak, to niestety, skojarzenia nie są najwłaściwsze. Pusto, szaro, zamknięte i straszne. Jednak dobrze, że idziemy dalej. Póki co jest w dół (w końcu schodzimy z monte, nie?).



p&W w Santiago de Compostela. DOSZLIŚMY!

Dotarliśmy do miasta. Dużo ulic, dużo samochodów, odwykliśmy od tego! Pod wielkim napisem Santiago de Compostela spotykamy pierwszą Polkę na naszej camino. To już jak wrota do ziemi obiecanej, jak światółko w tunelu, jesteśmy w Santiago! Pamiątkowe zdjęcie i idziemy dalej. Do miasta właściwego najwyraźniej jest strasznie daleko, jesteśmy w jakimś Ursusie czy innym Wilanowie, a do centrum jeszcze długa droga! W dodatku, sądząc z widoków, pod górkę ;p I pod czerwone światło...

W końcu dotarliśmy do katedry! To tu jest kilometr zero! W ostatniej chwili, bo ja już byłam w stanie: położyć się i umrzeć. Obeszliśmy katedrę dookoła (katedra w remoncie, rzecz jasna), znaleźliśmy hotel. Za nami 25 km. Samo meldowanie w hotelu trwało jakieś trzy lata, usiadłam w międzyczasie na podłodze i zdjęłam buty, bo inaczej nie dało rady. Potem wczołgałam się na pierwsze piętro (dlaczego, no DLACZEGO w tych przedwojennych kamienicach nie budowali wind!?!). W sumie mogło być gorzej, bo są jeszcze dwa piętra... Pokój jest dość ciasny, ale jest podwójne łóżko i łazienka i to jest najważniejsze. Ulokowałam się na łóżku i odmówiłam założenia butów z powrotem.

Po trzydziestu latach Wilczy zmusił mnie do zmiany zdania. Głównie wizją kolacji. Ale najpierw poszliśmy do Biura Pielgrzyma po compostelę. Święty dokument po łacinie, który świadczy o tym, że przeszliśmy! Do biura było pochylnią w dół, Wilczy trochę poklął pod nosem, ale sturlał żołądź, ja się doczołgałam. Szukaliśmy kolejki przed wejściem, tymczasem kolejki to oni upychają w środku, bo żeby w ogóle wejść do biura, to trzeba się najpierw wylegitymować paszportem pielgrzyma!... A potem znaleźć koniec tej zakręcającej niczym żmija kolejki. Stanęliśmy na końcu, pod ścianą, gdyby nie ta ściana, to pewnie kolejka byłaby dłuższa ;p

Wysłałam Wilczego na przeszpiegi. Poszedł, popatrzył. Znalazł miejsce do odstawiania kosturów (pewnie je potem tuningują i sprzedają jeszcze raz), znalazł stanowiska wydawania compostelek, stwierdził, że to jak na pocztce: wyświetla się numerki stanowiska, podchodzisz i zostajesz obsłużony. „Przy stanowisku może stać tylko jedna osoba” ;))) No to stoimy. Nogi bołą. Kolejka posuwa się powolutku... Przeszło nam przez myśl, żeby może przyjść tu jutro, ale jednak postanowiliśmy dać im szansę. Bo jutro to już całkiem nam się nie będzie chciało, miejmy to z głowy!

Po trochę ponad godzinie stania doczłapaliśmy się do lady. Wylegitymowaliśmy się paszportami pielgrzyma. Wpisaliśmy w formularz, że przeszliśmy naszą camino z powodów turystycznych (no może trochę było duchowych), odebraliśmy compostelki, zakupiliśmy na nie tubę i w sumie nasza pielgrzymka się skończyła. Kilometry za nami, przed nami jeszcze jutro msza dla pielgrzymów i to by było na tyle. Ale Droga się skończyła. Jednak trochę szkoda, człowiek tak przywykł do tego, że co prawda nogi bołą, ale wrzuca się plecak na plecy i idzie się dalej... Bo za zakrętem będą nowe domki, nowe bary, nowe ścieżki... A teraz co?



Credenciale już wypełnione pieczętkami :)

I Compostela, dyplom poświadczający przejście co najmniej ostatnich 100 km camino.

No jak to co? Do knajpy! Na kolację! W końcu po to też tu szliśmy!...

W poszukiwaniu jakiejś casa del pulpo Wilczy usiłował wywlec mnie ze starego miasta. Ja już nie miałam siły iść, a on uparcie włókł mnie w niewłaściwą stronę. On co prawda twierdzi, że jak tylko widziałam sklepik z pierdółkami, to dostawałam zastrzyku energii, ale to nieprawda. Ja czołgałam się do miejsca, w którym zajmą się umierającym pielgrzymem po prostu!...

Spotkaliśmy naszych Amerykanów. Powiedzieli, że idą do pizzerii, może pójdziemy z nimi? No nie mieliśmy siły tłumaczyć im, że skoro przejechali pół świata do Hiszpanii, to nie powinni jeść pizzy, tylko jednak dania hiszpańskie, owoce morza, mięsiwa, paprykę, pomidory... Życzyliśmy smacznego, ale jednak stanowczo się odżegnaliśmy od pizzy.

Obrałam w końcu kierunek na hotel, żeby nie trzeba było z daleka wracać, jak już się nabzdryngolimy tym winem. Ale przeszliśmy przez katedrę i jej wszystkie remonty. Nie znaleźliśmy kamiennej figury świętego Jakuba, więc nasza pielgrzymka nie została zakończona ;p Za to pomacaliśmy tę złotą figurę, stojącą nad ołtarzem, była do niej niezła kolejka i... schody! Potem zeszliśmy w dół po kolejnych schodach, pod ołtarz, bo tam z kolei leżały szczątki świętego Jakuba i w końcu opuściliśmy przybytek, obiecując sobie, że przyjdziemy tu jutro na mszę. Dla nas ta msza w końcu.

Na Tripadvisorze wyczailiśmy knajpkę O Gato Negro: niskie ceny, wysokie noty. Znaleźliśmy ją tuż koło naszego hotelu i nie tylko nie udało nam się zająć stolika, ale też nie bardzo dało radę wejść do środka, bo była pełna. Ludzie tam stali w drugim, trzecim i czwartym rzędzie od baru i pili albo jedli. Aha. My jednak potrzebowaliśmy usiąść...

W końcu usiedliśmy w knajpie ślimaczej (czyli Los Caracoles, co znaczy ślimaki, co może tłumaczy tempo obsługi... no dobra, żartowałam, wino dostaliśmy od ręki ;)). Kelner zapytał, w jakim języku chcemy kartę, bo słyszy, że dukamy po hiszpańsku. Właściwie Wilczy duka, ja to potrafię powiedzieć: „Cześć, daj mi oliwki i zimne piwo/wino”. Odpowiedzieliśmy mu, że wszystko jedno, więc dostaliśmy jedną kartę po hiszpańsku, drugą po angielsku :) Bardzo słusznie!

Zdjęłam buty, ale udawałam, że wcale nie, bo nie wypada wszak w porządnej knajpie siedzieć bez butów ;p Zeżarliśmy wszystkie czekadelfka. Piliśmy białe wino w oczekiwaniu na wszystkie owoce morza, które zamówiliśmy, a zamówiliśmy ich z pół kutra. Bez ograniczeń. W końcu świętujemy! Będzie: zupa rybna z owocami morza, ośmiornica po galicyjsku, mały krab (jak to się je!?) i przegrzebki (czyli – nomen omen – małże świętego Jakuba).

– Wiesz co, to wino jest zimne, a mnie jest coraz bardziej gorąco – poskarżyłam się Wilczemu.



Krab. Jak toto się je!?

Dyskretnie (albo i nie) rozglądamy się po współbiedniakach. Którzy z nich to pielgrzymi? Typujemy. O, ten gość ziewa straszliwie, może dziś wstał wcześniej rano i przeszedł ostatnie 30 km? Tamci są spaleni słońcem, ogorzali, zupełnie jak my. Rozważania przerywają nam kolejne talerze żarcia. Najwięcej emocji budzi krab, bo jak się do niego dobrać?...

No dobrze, do kraba dostaliśmy szczypczyki i trochę innych urządzeń do robienia krzywdy i Wilczy twar- do łupał pancerzyk kraba tymi szczypczykami. Udało się wygrzebać trochę mięska ze środka, fajne to było, ale megamęczące. Ośmiornica poprawna, przegrzebek super, wino wspaniałe, lody fajnie podane, wyszliśmy z knajpy usatysfakcjonowani, najedzeni i napici.

W hotelu poszukaliśmy jeszcze jakiegoś noclegu w Porto i padliśmy spać.

19 maja, Santiago de Compostela

Wilczy obudził się klasycznie, o 6:30. Ja o 7:30. Bo mnie nogi bolały. Obudziłam się, bo bolały mnie nogi!... No masakra. Wstaliśmy jednakże nieco później, odwiedziliśmy naszą restaurację pod hotelem, zjedliśmy śniadanie i poszliśmy na szoping. Wsławiłam się tym, że pokazałam w sklepie palcem na czekolady i powiedziałam do pani ekspedientki:

– Tres this!

A potem Wilczy zaczął się śmiać. No i co z tego, że pomieszałam hiszpański z angielskim? Szybciej było, a wszyscy zrozumieli!...:)

Potem powędrowaliśmy do katedry. Plecaki zostawiliśmy w knajpie, ale kosturek poszedł z nami. W katedrze było tłumnio. Usiedliśmy na podmurówce jakiejś kolumny, bo nigdzie nie było już miejsca. Obok w konfesjonale siedział ksiądz i spowiadał w trzech językach: po hiszpańsku, włosku i angielsku. Przy kolumnie po drugiej stronie nawy stały nasze Szwedki. Spotkaliśmy też Amerykanów i nie-Niemców z dzieckiem oraz Słowaków. Miło tak, sami znajomi w tym kościele :)



p&W przed katedrą. Naprawdę tam byliśmy :)

Zacząła się modlitwa, ale po hiszpańsku. Potem zaczęła się msza właściwa, prowadzona we wszystkich językach świata, bo księży na ołtarzu stało siedemnastu i każdy był z innej bajki. Każdy z nich też odprawiał jakiś fragmencik mszy. Do kompletu była jeszcze pani, która śpiewała pieśni. Po hiszpańsku :) Więc z całej mszy zrozumieliśmy niezbyt wiele, ale to było interesujące przeżycie. W pewnym momencie ksiądz wymienia pielgrzymów, którzy zarejestrowali się w Biurze Pielgrzyma od poprzedniej mszy, ale nas nie wymienił – nie było “Polacos”, podejrzewam, że to przez ten powód turystyczny. No turystyczny–nieturystyczny, ale na mszę przyszli, tak? A na koniec przyszło ośmiu panów w czerwonych wdziankach i rozbijało Botafumeiro, czy-

li wielką kadzielnicę, która buja się przez boczną nawę kościoła od sufitu do sufitu, waży 40 kg i gdyby tak się urwała... no, poprzednio urwała się w 1937 roku :) W każdym razie Botafumeiro sunie, pani śpiewa, organy grają, a za ołtarzem non stop przechodzi kolejka chętnych do pomacania figury św. Jakuba.

Dopiero dużo później zorientowaliśmy się, że w katedrze pod kolumną pozostał samotny nasz kostur. Pot, krew i łzy!...

– Został w najlepszym miejscu z możliwych – stwierdził Wilczy i ukradkiem otarł łzę tęsknoty ;)

Po mszy powędrowaliśmy do O Gato Negro. Postanowiliśmy nie wyjeżdżać z Santiago bez odwiedzenia tego przybytku rozkoszy, o którym pienia anielskie na Tripadvisorze wylewają się poza ekran telefonu. Must be! Więc wchodzimy, nie ma tłumu, chociaż ludzie są. Wchodzimy, patrzymy i co widzą nasze piękne oczęta? WOLNY STOLIK! Rączym truchtem pognaliśmy do niego, zabijając się po drodze o brukowaną podłogę, dopadliśmy stołków (tak, tak, STOŁKÓW) i wiadomo było, że bez walki miejsca nie oddamy. Nikt nie chciał jednak z nami walczyć, dostaliśmy nawet kartę, widać, żeśmy turyści, miejscowi wszak jedzą i piją przy barze, nie? Bez karty wiedzieliśmy, że będzie grana ośmiornica. Do kompletu zamówiliśmy wino, dostaliśmy karafkę i czarki, takie małe i płaskie miseczki w ramach kieliszków. Poza tym przyszedł chleb. I to wszystko razem było tak pyszne, że moje podniebienie wpadło w ekstazę, a żołądek błagał o meldunek w tej knajpie.



Wnętrze O Gato Negro. Niezbyt duży lokal, ale bardzo pojemny...:)

Oczywiście rozglądaliśmy się dookoła. Bardzo wyraźnie było widać, kto tu z Tripadvisora, kto tu pielgrzym, a kto miejscowy. Miejscowi stawali przy barze i rozmawiali wszyscy ze sobą naraz, popijając wino lub piwo. Pielgrzymi wchodzili z plecakami i starali się znaleźć sobie jakikolwiek przytulny kącik. Turyści wchodzili i ich stopowało: ooo, nie ma stolików, jak tu ciasno, wąskie przejście, co za podłoga nierówna!... A potem weszli ludzie w... sztormiakach. No nieźle musiało wiać na oceanie, skoro ich tak daleko od brzegu wyrzuciło!...:)

Najedzeni i usatysfakcjonowani opuściliśmy O Gato Negro i poszliśmy się pobłąkać. Znowu zaczęłam marudzić, że mi Szwedek brakuje, że świat bez nich jest jakiś taki niedokończony i że nie mogę stąd wyjechać bez spotkania z nimi! I proszę – jak na zamówienie – spotkaliśmy Elisabeth, jak wracała z zakupami. Okazało się, że wynajęły sobie pokoik z widokiem i zostają kilka dni w Santiago. Teraz już, jak się pożegnaliśmy oficjalnie, wszystko było jak trzeba :)

Poplątaliśmy się jeszcze po ulicach, szukając jakiejś pamiątkowej ośmiornicy z Santiago, ale w końcu żadnej fajnej nie znaleźliśmy, za to nefajnych cały stosik. Zapragnęliśmy w końcu odpocząć i okazało się, że pod naszym hotelem piwa się nie napijemy, bo teraz jest czas na obiad i oni nie przyjmują w knajpie gości tylko na piwo. Ach, tak?... Poszliśmy nieco dalej i daliśmy się wciągnąć na najdroższe piwo świata, do którego dostaliśmy trochę tapasów.

No i czas w drogę. Odebraliśmy swoje plecaki i powędrowaliśmy na dworzec kolejowy, gdzie udało nam się po hiszpańsku kupić bilety na pociąg do Porto z przesiadką w Vigo. Po hiszpańsku, bo pan w kasie nie mówił po angielsku, ale Wilczy się dogadał :) I tak oto skończyła się nasza camino.

Aczkolwiek obawiam się, że to nie było moje ostatnie słowo w sprawie włóczęgi.

Bo na przykład istnieje jeszcze Caminho Português... ;)

(tylko nie mówcie Wilczemu!)

Camino jest wszędzie!

Po przejściu naszej camino mieliśmy zamiar odpocząć w Porto. Wiadomo, dobre żarcie, porto i piękne widoki. I ocean. Tia...

Okazało się, że w Porto WSZĘDZIE JEST POD GÓRKĘ. Nasze zbolące nogi, zamiast odpocząć, znowu były masakrowane. Tylko teraz nie musieliśmy nigdzie dojść, bo knajp było w okolicy pod dostatkim :)

Ale żebyśmy nie zapomnieli o camino...

Najpierw znaleźliśmy żółtą muszlę na ścianie budynku niedaleko naszego noclegu. Szlak tędy idzie, czy jakiś pielgrzym mieszka? Chyba to drugie, bo strzałek zabrakło. A potem pod katedrą spotkaliśmy pielgrzymów na szlaku. Po raz ostatni tego lata powiedziałam: "Buen Camino" :)



Muszla świętego Jakuba w Porto, na elewacji kamienicy :)



Zapraszamy na
psyche.wilczy.pl